

Z PAMIĘTNIKA PSYCHOPATY

CECHY W DZIAŁANIU PSYCHOPATY W KRAJACH

~~WYKONANO~~

STATYSTYKA PSYCHOMETRYCZNA

ODBITO W Drukarni Narodowej w Krakowie.

in tyt. tego aut.
- 7

~~275~~ 18.537
~~5192~~

WACŁAW ŻMUDZKI

Z PAMIĘTNIKA
PSYCHOPATY



LWÓW - KSIĘGARNIA POLSKA
WARSZAWA - E. WENDE I SP. 1903





268927



W/164/03

...Stanowczo różni się od wielu, wielu innych, które dotąd na drodze mej spotykałem. Jej indywidualność określa się dla mnie dwoma cechami: niezmacony spokój ufnego w siebie ducha — i kryształowa czystość. Zupełnie jak wody Niemna.

Swoją drogą wdzięczny jestem Leonowi, że wybił mi z głowy zagranicę i ściągnął tutaj. Lasy i woda, szczególnie takie lasy jak tu — tejsze i taka woda jak niemeńska wywierają na człowieka pewien urok.

Z wyobrażeniem Niemna zawsze kojarzyło się w moim umyśle pojęcie czegoś takiego ogromnie rzeźwego, przestronnego, masy powietrza, rozblękitnienia... Istotnie, jest tu coś takiego, jest!

A jakie przytem kurczęta, jakie mleko zsiadłe — rzepa!!

Przypuszczam, że Leon nie przypadkiem wybrał tę właśnie miejscowość.

Lecz po co w takim razie mnie tu ściągnął?

Czy uważa, że nie we wszystkich sprawach można mię brać w rachubę?

Lubię go, ale ma jedną wadę: jest zarozumiały.

Dzisiaj w nocy jeździliśmy łódką w kierunku dworku naszych sąsiadek.

W tem miejscu Niemen rozszerza się znacznie, tworząc jakby jezioro, okolone czarną ścianą lasu. Bieg wody staje się zupełnie nieostrzegalnym.

Zatrzymaliśmy się pośrodku.

Po chwili powierzchnia wody wygładziła się — łódka naraz jakby zawisła w przestrzeni. Dziwne uczucie!... przepaść bezdena, świecąca gwiazdami nad głową i przepaść pod stopami, dokoła drzemiący odwieczny bór, nieruchoma toń rzeki, przebłyskującej między drzewami gładkim srebrem światła księżycowego, i cisza!... Cisza senna, rozmarzająca, a tchnąca jakąś ogromną mocą, przypinająca chybkie skrzydła znużonej duszy... To Litwa!

»...Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...«

Leon psuł całe wrażenie. Kręcił się nieustannie w łódce, wyciągał z westchnieniami szyję ku migocącym w dali oknom.

Naturalnie! Czyż jest na świecie piękno, którego by mu nie była w stanie zasłonić spódniczka?

* * *

Pawlukowa chce nas stanowczo zakarmić na śmierć. Czuję się tak, jak wąż boa po spożyciu wołu. Nic, tylko spać.

A Leon? — zjadł przecie dwa razy tyle co ja — i poszedł! He, he, naturalnie! z głębi tak wypchanego żołądka łatwiej mu będzie wzdychać. Fi!... dziennikarska dusza.

A szkoda jej!

* * *

Nie przypuszczam, aby to u niej było rozmyslną kokieterią. A jednak tak właśnie powinna się ubierać kobieta, która chce podrażnić ciekawość. Jak najmniej ujawniać, by

tem więcej pola pozostawić domysłom! Ta wiotka materya, zaledwie markująca krągłość kształtów, a te tiulowe koronki, drgające na piersiach, jak gdyby pod nimi trzepotały się żywe, tylko co pojmane w sieć ryby... — wyobraźnia mimowoli stara się dotrzeć aż do źródła tajemnicy.

Leon swoim zwyczajem usiłował manewrować tak, by się z nią oddalić, lecz rozmyślnie przeszkadzałem mu w tem, doznając niemiłego uczucia, że ten właśnie jej ażurowy strój nazbyt jakoś zbliża ją do niego, może ją nazbyt zdać w jego władzę.

Postępowali przed nami o parę kroków. Leon, jak zwykle z nią, mówił przyciszonym głosem, nie mogłem więc pochwycić wątki rozmowy, przytem przeszkadzał mi nieustanny szczebiot mamy Dworskiej. Nieznośna baba!

— ...Kobieta jest rośliną wiotką, musi jak bluszcz szukać silniejszej opory, gdyż o własnej mocy nie zdoła nigdy rozwinąć się wszechstronnie.

Odróciłem się śpiesznie, by nie parsknąć śmiechem. Mama Dworska, wypełniająca sobą

szczelnie całą przestrzeń dziesięcio-metrowej sukni — i wiotka roślina, ha, ha!

Korbiel z wielką zgodnością skinął głową.

— Pani dzika ma zupełną rację. Chociaż z drugiej strony i mężczyzna dla wszechstronnego rozwoju nie może się obyć bez współudziału kobiety.

— Tak! mężczyzna daje moc i kierunek, zadaniem kobiety koić jego bóle, krzepić, osładzać troski. Tylko przy takim zjednoczeniu życie może być prawdziwie pełnem. I dlatego też każdy dobrowolnie skazujący się na samotność, w moich oczach uchodzi wprost za nieprzyjaciela własnego szczęścia. Nieprawdaż, panie Skalski?

— Najzupełniejsza, pani dziko!

Zaczynałem rozumieć grę. Przez czas swej karyery małżeńskiej »słodząc i krzepiąc« zająca mama zdążyła ponoć zedrzyć trzech mężów. Lecz zapał do tej wzniosłej misji nie wygasł jeszcze widocznie w jej piersiach. A stary Korbiel wyglądał jeszcze morowo.

— Najzupełniejsza prawda. I każdy też przychodzi zapewne z czasem do przeświad-

czenia o swoim błędzie. Naprzykład pan — zwróciłem się do Korbiela — czy mówiąc szczerze samotność nigdy jeszcze panu nie zaciążyła?

— Ha, panie dziku, istotnie, mogę sobie powiedzieć — *mea culpa!* Lecz niestety, przeświadczenie to zapóźno mi nieco przyszło.

— Zapóźno? co też pan mówi! Nie popełnię chyba nieskromności, gdy zapytam, ile też pan może sobie lat liczyć?

— Piąty krzyżyk, pani dziko, tak jest, piąty krzyżyk!

— Czyż możliwe?! Ależ w takim razie posiadał pan chyba tajemnicę jakiejś cudownej odmładzającej maści! Tak się zakonserwować, to nie do uwierzenia doprawdy.

— Pani dzika bardzo na mnie łaskawa, he, he, bardzo!...

Pulchna prawica pani Dworskiej zniknęła na chwilę pod strzechą rudych wąsisków, rozległo się parokrotne przeciągłe mlaśnięcie. Stary idyota szedł najwidoczniej na lep.

W tej chwili Leon, który tymczasem zdołał nareszcie wysunąć się nieco naprzód z Ja-

niną, pochylił się tak do jej ucha, że prawie dotykał go ustami.

Przyspieszyłem kroku i zapytałem głośno.

— A pani jakiego jest w tej sprawie zdania, panno Janino?

Obejrzała się zmieszana.

— W jakiej sprawie?

— Czy należy szukać wczas towarzyszki lub towarzysza życia, czy też lepiej zostać samotnym?

Twarz jej oblała się naraz krwią. Rękę, że rozmawiali o tem samym.

— Nie wiem właściwie, to zależy...

— Naturalnie — przerwał naraz Leon — że w każdym razie trzeba szukać połączenia z jakąś drogą, bliźnią duszą. I to póki czas, w jak najmłodszym wieku. Samotność stanowczo nie leży w naturze człowieka, lecz — jak do wszystkiego na świecie — można się do niej z czasem przyzwyczać. A gdy człowiek raz zaskrzepnie ze swymi nałogami — przepadło dla niego wszystko. Natura mści się za pogwałcenie swoich praw, i to, co przy zachowaniu jej wyraźnych wskazówek może

być prawdziwą osłodą życia, zastosowane niewłaściwie, czyli lepiej mówiąc poniewczasie, staje się nieznośnym ciężarem. Takie jest moje zdanie i dlatego, jeżeli się wogóle ożenię, to w najbliższym czasie, lub nigdy.

Mama Dworska uśmiechnęła się z przymusem.

— O, pan — o ile mi się zdaje — nie może jeszcze wogóle mieć tak stanowczego zdania w tej kwestyi. Jeżeli się nie mylę, wiek pański!...

Leon spojrział na nią bystro, potem na Korbiela, szczypiącego w zadumie zwisające niemal do pasa wąsy, i widocznie w lot potapał się w sytuacji.

— Naturalnie, pani dobrodziejko — podchwycił szybko — wszystko zależy od indywidualnych właściwości. Nie przeczę, że mogą być wyjątki. Ot, na przykład, moja rodzona ciotka! w pięćdziesiątym roku wyszła za mąż, a nie biorę jej tego za złe, bo była tak zakonserwowana, że więcej nad trzydziestkę trudno jej było policzyć. Doprawdy to feno-

menalne, ale — proszę mi wybaczyć porównanie — wyglądała mało co starzej od pani dobrodziejki!

Kłamał bezczelnie, bo ciotki — o ile wiem — nie miał wcale, a mama Dworska wyglądała conajmniej na czterdziestkę, lecz celu dopiął.

Stara ze śliczną skromnością spuściła oczy.

— Tak — zgodziła się — to zależy od sposobu życia. Ruch, świeże powietrze, to najlepsze kosmetyki. Ja bo innych nigdy nie używałam i — proszę się nie śmiać — mimo skończonych lat trzydziestu sześciu (z akcentem!) chwilami czuję się jeszcze niemal młodą.

Leon mrugnął na mnie znacząco.

— Stary grzmot, co! Niech ją kaczkil!...

Janina zdawała się nie słyszeć całej rozmowy, czy jej patrzyły gdzieś w dal bezkreśną.

— Lubi pani naturę? — zapytałem.

— Bardzo. Szczególniej tutejszą. Bo też istotnie jest tu na czem wzrok zatrzymać. Naprzykład ten widok, proszę patrzeć! To wzgórze, uwieńczone koroną drzew, przez

które prześwieca purpura zachodu, u stóp szmaragdowy kobierzec łąk i Niemen!... Ach ten Niemen — prawda panie? — jaki on potężny, jaki cudny, naprzykład w tej chwili z tymi grzbietami fal, palącymi się jak rubiny na słońcu!...

Nie widziałem nic z cudowności, które mi opisywała, będąc pochłoniętym nią samą. Po raz pierwszy wydała mi się tak piękną. Czy sta jej twarz pod wpływemżywienia zapłoneńarumieńcem delikatnym jak kwiat jabłoni, w rozmarzonych oczach błyskały jakieś złotawe iskierki. I ten biust!... Właściwie przez wycięcie stanika widniał zaledwie delikatny cień przegubu, lecz padające wprost na nią skośne promienie wieczornego słońca ześlizgując się po alabastrze ciała aż pod rąbek wycięcia, pozwalały przeczuwać brzeg gładkich, zlekka różowych wypukłości dziewiczego łona, tulących się jak dwie mleczne gwiazdy we mgłę białej tiulowej koronki.

— Ale pan nie patrzy — spojrzała naraż — pan może w duchu śmieje się ze mnie?

— Niech mię Bóg broni! Proszę mówić dalej, pani to tak ładnie opisuje!...

— Bo proszę się nie dziwić, ale ja się tutaj urodziłam, tutaj spędziłam dzieciństwo. Gdyby to odemnie zależało, zamieszkałabym tu na stałe, ale mamcia zbyt się tu nudzi, więc przyjeżdżamy tylko na lato i to na parę miesięcy.

— Zdaje mi się, że pani Dworska lubi gospodarstwo?

— Tak, ale właściwie tutaj i gospodarstwa żadnego niema. Dworek i trochę nieużytków, które tylko dla pana Korbiela mogą mieć jakąś wartość, bo podobno jest tu zborny punkt zajęcy z całej okolicy. Wczoraj właśnie pokazywałam panu Leonowi granice naszych posiadłości — zajęło to nam pół godziny czasu.

— Choć mnie się wydało, że państwo blisko pół dnia strawili na tej wycieczce?

— Ach tak — zaśmiała się — spotkała nas przygoda. Przejechaliśmy na drugą stronę Niemna i pan Leon tak źle przymocował

łódkę, że nam uciekła. Musieliśmy dopiero szukać przewoźnika.

Odwróciła nieco głowę, jakby unikając mego spojrzenia. Przypuszczam, że w tem opóźnieniu było tyleż winy przypadku co i dobrej woli.

— Państwo dawno znacie się z Leonem?

— O, jeszcze dziećmi znaliśmy się, później pan Leon był moim nauczycielem!

W tej chwili Leon, obrobiwszy już zapewne dostatecznie mamę Dworską, wcisnął się naraz klinem między nas dwoje.

— Tak, bardzo dawno się znamy, bardzo dawno. Dlatego zrozumiesz zapewne, że i do pomówienia z sobą mamy też bardzo wiele.

Uśmiechnął się do mnie bardzo serdecznie, co mnie jednak bynajmniej nie rozbroiło. Spojrzałem na Janinę — oczy miała spuszczone, z jej nieruchomej twarzy nie mogłem zupełnie wyczytać, jak przyjęła tę brutalność.

— No — rzekłem — wobec tego!...

Zdawało mi się, że teraz Janina spojrzała na mnie z zaniepokojeniem. Może mi się zre-sztą tylko zdawało?

— Jakto — zaoponowała mama Dworska — pan już od nas ucieka?

— Tak, choć z przykrością. Przypomniałem sobie właśnie, że muszę jeszcze dziś wysłać list w bardzo ważnym interesie.

— Ale na kolację pan będzie łaskaw?

Skłoniłem się, nie chcąc odpowiadać wyraźnie.

— O naturalnie — wtrącił Leon — na kolację przyjdzie niezawodnie.

Osió!

10 lipiec.

Wczoraj czytałem Niemojewskiego, dziś po raz wtóry »Androgyne«. Niemojewski to jedyny dla mnie z »naszych natchnionych« nie-pieczeniarz — w przenośnym i dosłownym znaczeniu. A Przybyszewski? — jak on pisze, jak on pisze!... Przypuszczam, że ten człowiek choć raz — może w cudnym śnie młodzieńczym — ujrzał na jedno мгніе nie oka realnie to, co dusza za ledwie niewyraźnie przeczuwa w najpodnioślejszych swych chwilach, i odtąd nieustannie szuka do tego nieznanego powrotnej drogi, i rozkrwawia sobie łeb o twardej mur rzeczywistości.

* * *

Z Leonem od paru dni słowa nie zamieniłem. Wraca, gdy już śpię, wychodzi, gdy jeszcze śpię.

14 lipiec.

Znów parę dni bezowocnych wysiłków. Co za męka! Mieć coś w sobie, co się gwałtem rwie nazewnątrz, i nie być w stanie wydać tego z siebie. Czuję się tak, jakby się powinna czuć kobieta, która ma rodzić wpoprzek.

Ktoś z piszących mówił mi kiedyś, że jeżeli nie może posuwać się w pracy naprzód, to jest to dla niego wyraźną wskazówką, że popełnił jakiś błąd w dokonanej części. Ma to być coś w rodzaju opiekuńczego *dajmonion* ostrzegający głos nieświadomego poczucia miary artystycznej. Jeżeli tak jest, to ciekaw jestem, w czym leży mój błąd? Cała robota właściwie stoi jeszcze przedemną, napisałem zbyt jeszcze mało, a więc — czy nie błędem jest samo założenie? — kobieta bardzo idealna i bardzo kochająca dla uratowania honoru i życia ukochanego człowieka, a pośrednio i dla uratowania sprawy, której

ten człowiek służy, ma się oddać jego wrogowi! — Czy jest to wogóle możliwe z punktu widzenia kobiecej psychologii?

Zadanie biblijnej Judyty było o tyle łatwiejszem do spełnienia, że dzikość pozwoliła jej zabić bezpośrednio po dokonanej fackie, moja zaś cywilizowana Judyta nie może sobie na to pozwolić. Przeciwnie, musi zostawić życie i sama żyć musi.

Szkoda, że w danym wypadku nie można polegać na opinii samych kobiet. Są kwestye, w których kobiety mimowoli bywają nie-szczere, a prócz tego bardzo niewiele z po-śród nich potrafi myśleć w oderwaniu, nie sprowadzając całej sprawy na swój osobisty grunt. Umyślnie robiłem próbę. I stojąc na tym osobistym gruncie jedne odpowiadały mi, że nie mogą sobie wyobrazić okoliczności, które by je do takiej ofiary mogły zagnąć, inne zaś — i te zapewne były nieszczerze — że zmuszone ostatecznie umarłyby potem.

Ciekaw jestem, co by na to powiedziała Janina?

* * *

Dziś po raz pierwszy w życiu widziałem miłosne pocałunki chłopów. Wyglądają zupełnie tak samo, jak u najprzedniejszej inteligencji!!

Pawłuk najwidoczniej nie zupełnie dowie-rza lojalności naszego postępowania względem jego żony, a co zabawniejsze, że obawa przed nami idzie u niego w parze z chęcią zarobie-nia na nas.

Jest smolarzem, odchodził na cały tydzień do lasu za Niemen, mimowoli byłem świadkiem ich pożegnania.

— Pamiętaj, Hanka, żeby czego nie było. Jabym cię tu tak nie zostawił, ale wiesz sama — grosz do grosza! Stąd trocha, stąd trocha, możebyśmy kiedy wyszli na swoje.

— Głupi ty, a czy to byś mię upilnował, gdybym była taka? Już ty się nie bój!

Przygarnął ją do siebie ramieniem, poca-łowali się.

— Ja wiem, ja wiem, ale ty zawsze tego... Uważaj!

— No, no, nie gadaj wiele!

I znów pocałunek. Wpili się w siebie war-



gami, jak dwie pijawki. Aż mi w oczach po-
ciemniało.

* * *

Zdaje się, że na pewien czas najlepiej bę-
dzie zaprzestać pisać, a nawet myśleć o tem.
Może z czasem trudności same się jakoś roz-
wikłają.

15 lipiec.

Dlaczego właściwie odpowiedziałem Leo-
nowi — nie! — na jego propozycję towa-
rzyszenia mu, skoro na języku miałem —
tak? — Być może dlatego, że tym razem wyjąt-
kowo irytowała mię staranność, z jaką oglą-
dał każdy szczegół swego ubrania. Ma przy-
tem bardzo wygodny (dla siebie) zwyczaj nie
zwracania uwagi na usposobienie otoczenia.

— Przypatrz-no się uważnie! Zdaje mi
się, że kołnierz u tego surduta jest nieco
krzywy — prawda? Prawa strona, zdaje się,
zanadto wycięta?

— Aha, być może!

— Bestya krawiec, będzie on widział pie-
niądzel! A ta kamizelka?

— Też, zdaje się, krzywa.

— Jakto, krzywa? Gdzie krzywa? Ależ
zdaje ci się chyba!

— No więc zdaje mi się, ale proszę cię, możebyś mi dał spokój! Powinieneś sobie garderobianą trzymać.

— Ojej, czemu nie! właśnie garderobianą, tylko garderobianą. Niech tylko wygram na loteryi. Kobiety mają dobre oko i gust, no i — uważasz — tego... Wogóle niewiasta z wielu względów jest statkiem nader pożądanym w domu.

— Jesteś, zdaje się, na drodze do nabycia tego statku.

— Ba, ba, żeby to! Ale *à propos*, cóż mam powiedzieć pannie Janinie, gdy mię znów będzie dopytywać o przyczynę twej nieobecności?

— Co wolisz.

— Hm, uprawomocnienie dosyć szerokie. Choć właściwie nie rozumiem, dlaczego nie chcesz iść. Chyba masz zamiar pisać?

— Być może.

— W takim razie nie nalegam. Ja się na tem nie znam, ale zdaje mi się, że przy tworzeniu, szczególnie takiej rzeczy jak dramat,

należy pisać właśnie wtedy tylko, gdy ma się szczerą chęć, na gorąco. I nie odkładać. Inaczej pomysł zwietrzeje jak odetkana flaszka wina. A wczoraj miałeś wenę?

— Tak, dosyć.

— No, więc do miłego! Powiem pannie Janinie, że pracujesz na chwałę i pożytek ojczystej literatury.

Uciekłem z domu zaraz po jego wyjściu. Wiem, że zostawszy, nie mógłbym się przezwyciężyć, aby znów nie zasiąść do pisania, po to naturalnie, by po kilkogodzinnych wysiłkach najdokładniej skreślić to wszystko, co zdołałem napisać.

Nie mogę sobie darować, że się zwierzył Leonowi. To jego interesowanie się postępami mojej roboty ciąży mi teraz niesłychanie. Czuję się jakby zniewolonym wewnętrznie do pchania naprzód taczki, do której sam się przykułem.

— Pomysł zwietrzeje! — Może ma w tem rację, ale tylko pośrednio. Lepiej pisać na gorąco, przenosić pomysł wprost ze świeżej wyobraźni na papier, nie dlatego jednak, aby

pozostawszy przez czas dłuższy na składzie w tej wyobraźni miał on zwietrzeć, zblaknąć, lecz raczej dlatego, że nosząc w sobie przez czas dłuższy pomysł w stanie — można rzec — potencjalnym, gotowym do wylania, mimowoli przyczepia się doń tysiące komplikacji, tysiące dróg, któremi możnaby go wyprowadzić nazewnątrz. I później, gdy już przychodzi do ostatecznego wyładowania z siebie tego pomysłu, wszystkie te komplikacje cisną się naraz, nie wiadomo, którą drogę wybrać najwłaściwiej.

Naturalnie, wszystko to jest możliwe tylko u mnie, przy mojem zrównoważeniu ducha.

A może to nie brak zrównoważenia, tylko poprostu.. nieudolność?

I takie przypuszczenie dość często przychodzi mi do głowy.

O gdybyż raz mogło się ono zamienić w pewność, gdyby raz zebrać się na odwagę i wyrzucić to wszystko na śmiecie!...

Ale nie, na taką odwagę nigdy się nie zdobędę.

Lepiej być matolkiem?!...

Ze wzgórza, na które się przywlokłem, całą Popielówkę widać było jak na dłoni.

Pusto tam było, cicho. Szyby okien szklity się rdzawo na słońcu, upał ciężył masą rozprężonego powietrza nad domem, nad drzewami ogrodu.

...Od strony Kustowicz wyłonił się z lasu jakiś jeździec. Koński łeb, nad nim olbrzymi słomiany kapelusz, i długi ogon rudawego pyłu. To pan Korbiel!

...Między drzewami ogrodu bardzo blisko siebie, prawie zlewając się w jedno, zamajaczyły na chwilę i znikły zaraz w cieniu dwie plamy: różowa i czarna. Bardzo blisko siebie!

I znów pustka.

Aż oto po białej ścianie domu mignął cień z błyszczącym samowarem, na ganek wypłynęła mama Dworska.

Naturalnie — podwieczorek.

— ...Panie Korbiel, może maselka do

bułeczki! I jedno i drugie własnej roboty. Nie chcę się chwalić, ale doprawdy ja tak lubię gospodarstwo!...

Dobrze, że powiedziałem — nie! — Po co mam być piątem kołem u wozu.

18 lipca.

Mama Dworska awansuje nader szybko. Dzisiaj byliśmy wszyscy u Korbiela na przesonem przyjęciu.

Po podwieczorku (bardzo sutym) Korbiel pokazywał nam swoje gospodarstwo. (Leon z Janiną, naturalnie, oglądali tymczasem ogród. Widziałem później, jak siedząc na kamiennej ławce trzymał ją za rękę, patrząc na nią ze specjalnym wyrazem oczu. W ten sam sposób spoglądał wczoraj na Pawlukową!)

Mama Dworska rozplywała się z nadmiaru zachwytu.

— Ach, co za owieczki, jakie krówki! Teliś, teliś, teliś!... Jakież to figlarne, a jakie tłuściutki — kropla wody by się nie utrzymała.

— Ostrożnie, pani dziko, ten mały bodzi. To rozbójnik!

— O, ja się nie boję. Zwierzęta czują, kto je lubi. A dla mnie doprawdy główną przy-

jemność pobytu na wsi stanowi właśnie to, że mogę patrzeć na te powracające do domu stada, hodować kury i kaczki. Jeżeli i kobiety mają prawo rościć sobie pretensje do jakiegoś powołania, to ja ze swoim stanowczo się rozminęłam. Powinnam była zostać wiejską gospożą.

— To jeszcze jest w każdej chwili do naprawienia.

— Co pan mówi, na Popielówce? Ależ tam jednej krowy nie można utrzymać.

— Może nie na Popielówce, ale gdzieś blisko!...

W tem miejscu rozmowa, która zaczynała być właśnie najbardziej interesującą, została niespodzianie przerwana. Na dziedzińcu, stojąc na nieosiódlanym koniu, wpadł galopem trzynastoletni wyrostek i przemknął jak strzała tuż obok nas.

Mama Dworska przycisnęła rękami gorset.

— Ach, ach, on się zabije!

Korbiel sponsował.

— Kuba, ośle jeden, złaż natychmiast z konia. Ja ci tu zaraz sztukę pokażę!

Chłopiec jednym susem zeskoczył z konia i wyszczerzył zęby, nie bardzo widać obawiając się skutków tej pogroźki.

— Jaka zręczność, jaka odwaga szalona! Ale niech mu pan surowo zabroni, to się może źle skończyć. A skąd pan wyrwał tego zucha, nigdy go przedtem nie widziała?

— To... — pan Korbiel zaciął się zlekka — wychowanek mój. Sierotą został, bez rodziny!...

— A! Chodźże tu, mój zuchu, niech ci się przypatrzę.

»Wychowanek« podszedł dość śmiało i grzebnął nogą po piasku. Podobny był do swego opiekuna jak kropla wody, tylko mu jeszcze wąsów brakło.

Zresztą pan Korbiel zupełnie niepotrzebnie kręcił, gdyż historia Kuby była wszystkim aż nadto dobrze znaną. Była niegdyś w Kustowiczach dziewczyna wiejska cudnej urody. Pan Korbiel miał zawsze dobre oko, był przytem trochę marzycielem i postanowił, nie zważając na różnice społeczne, połączyć się z nią węzłem dogonnym. Przedtem jednak chciał ją podnieść nieco do swego poziomu umy-

słowego, a zaczął od tego, że nauczył ją jeździć konno. Lecz niestety zgon przedwczesny Marcysi — tak się bowiem dziewczyna owa zwała — zniweczył jego zamiary, pozostała mu po niej tylko amazonka i — Kuba.

Mama Dworska przyglądała się chłopcu z uwagą, choć nie bez cienia pewnej, zresztą starannie ukrywanej w kątach ust złośliwości.

— Zuch chłopiec, zuch, a wygląda jak panienka. Jakie to oczy śliczne, płeć — kogoś on mi takiego przypomina?!...

W panu Korbielu duma ojcowska zaczynała już zwyciężać wszelkie inne skrupuły.

— W rączkę panią dzikę, smyku jeden, w rączkę tego!...

Mama Dworska pieszczotliwie pogłaskała chłopca po głowie.

— Zuch chłopiec, ale nie trzeba takich prób robić. Gdyby to odemnie zależało, o — nie pozwoliłabym ci!

Biedny Kuba! oby nieba oszczędziły ci konieczności doświadczenia na sobie dobroczynnych skutków tej troskliwości!

19 lipca.

Różany odrzask zachodzącego słońca, toniejący zwolna na wieczornem niebie, jak jasny rumieniec na stygnącej w mistycznym skupieniu twarzy rozmodlonej dziewicy —

— tajemne przecucie nastających mroków, przebiegające urocznym szmerem po drżących liściach drzew nieruchomych —

— miękkie, bezdźwięczne tchnienia wieczornych błyskawic, rozłsniewających na widnokręgu łagodnem mruganiem oczu usypiającego dziecięcia, tych błyskawic, które znamionują trwałą pogodę —

— blade kruszyny gwiazd, migocące w przepastnych głębiach niebieskich, jak lotne iskry niewidzialnych, nieuchwytnych źrenic —

— idzie noc!

Idzie upajająca, senna, z wabnem graniem przepiórek, na miękkich falach pieściwego, przesyconego balsamem powietrza.

Idzie królewsko wspaniała, blady miesiąc
trzyma wysoko nad czołem, rozpina po nie-
bie ciemno-błękitny, gwiazdami tkany welon.

Idzie rozmarzająca, tęskna, kościelnie ci-
cha, w bezdźwięcznym rozszepcaniu płyną-
cych wślad za nią mrokami tajemnic.

Idzie!...

O nocy cudna, nocy mojej męki!

Ta cisza!...

Cisza pełna bezdźwięcznych drgań i sze-
ptów, cisnąca się rozgwarem w uszy, opływa-
jąca duszę szybkimi jak myśl falami swej
tajemnej, niezbadanej treści.

Dlaczego ta treść tajemnicza nawiewa taką
dziwną trwogę na mą duszę, dlaczego roz-
pina ją na krzyżu rwącej, nieutulonej tęsk-
nicy i żalu?

Zdaje mi się, że w tej jak morze nie-
zgiętej, ogarniającej wszechświat ciszy ja
sam tylko czuwać i myśleć w tej chwili.
Wszystko, co żyło obok mnie, co było mi bliz-
kiem, odsunęło się gdzieś w nieskończoność,
zatonęło w mrocznych falach obojętnego nie-
bytu.

I zdaje mi się, że to gwiazdziste niebo
zbiegło się ku mnie ze wszech stron, zawarło
się nademną jak wieko trumny, odgradzając
od świata zewnętrznego.

Z żyjących pozostałem ja sam tylko pod
ciążarem mrocznego sklepienia, sam!

Cisza i trwoga!...

Lecz oto dokoła mnie rozpoczyna się nowe
życie, pełne tajemnego rozgwaru, kłębiące się
zwiewnymi kształtami w szarzeniu nocy.

Upiorne życie wspomnień!

Życie, które się lęgnie w samotności, któ-
remu nicość mroków nadaje kształt i barwę,
która z martwej ciszy nocnej przędzie dźwięki
rozwiązanych przed laty w przestrzeni głosów.

Ono ze mnie bierze swój początek!

Jak pulsujące na dnie sennego jeziora
źródło, które nieustannym przyływem wody
rzuca na powierzchnię rozbieżne koliska,
mknące cieniami po jasnej toni wód, tak i ja
jestem ośrodkiem, z którego się ruch wysnuwa.

Wrażenia chwil dawno minionych, bólów
dawno zmartwiałych wypełzają z cmentarzy-
ska duszy, by raz jeszcze zaświecić w prze-

rażone oczy siną twarzą trupa, rozedrzyć słuch zgrzytliwym śmiechem urągania, porwać świadomość w piekielny wir zdarzeń, postaci, jęków cierpienia.

Widzę was, wy chwile mojej!

...Katafalk. Wysoko w zieleni kwiatów trumna. Płowe dymy kadzielnic, rozświecone żółtawym blaskiem jarzących gromnic, jak złoty pył unoszą się ku górze. Dokoła twarze więcej ciekawe, niż współczujące, przeciągły jęk dzwonów, obwisły podbródek księdza i — *Salve regina!*

Trumna połyskuje między zielenią metalowymi bokami. Ciemna, zimna trumna! A w niej — blada, schorzała twarz, ciemne plamy zapaźniętych oczu, usta ścięte wyrazem zastarzałego cierpienia. *Salve regina, o salve — witaj koicielko bólów!*

...Pokój na poddaszu. Przez otwarte okno wlewają się fale gorąca nocy lipcowej i wielkomijskiego zgiełku. Lampa rzuca na stół krąg żółtawego światła, a w tem świetle srebrzy się sprószona siwizna, nisko pochylona głowa.

Z sinych, obrzękłych ust padają wyrazy przerywanego szeptu. — Podły, zabiłem ją, matkę ci zabiłem. Czy słyszysz, ty, ty? to ja ją, ja zabiłem!

O zabij i ty mnie, zabij, tu uderz, gdzie tak pali, tu, tu!... — Szept staje się coraz cichszy, głowa chwieje się bezładnie. I naraz osowiałe, łzawe oczy wywracają się w orbitach, błyskając straszliwymi białkami, wargi wykrzywają się skurczem bólu, odsłaniając zgrzytające zęby, po brodzie sączy się brudna piana. — Och, jak pali tu, tu! Synu, dziecko moje, na rany Chrystusa, jeszcze jeden kiel... jedną kropelk!... —

..Rozpaczne szamotanie się obłąkanej bólem duszy, pragnącej wyrzucić z siebie grot zatruty, który pogrzązł w niej głęboko rdzawymi kolcami, zdławić w sobie wewnętrzny niepokój, wiecznie czujny, burzący, spozierający zwewnątrz tysiącami rozszerzonych przerazieniem źrenic.

Gdzie spokój i jaka istność jego?

...Świątynie sztuki i nory rozpusty...

...Widzę ją, wciąż ją widzę. Zniweczona

ręką swego twórcy krótko żyła, lecz na wieczność wypaliła mi się w duszy. Oszalały, pędzący naoslep rumak unosi ją ku zagładzie. Już się zarwał na stromym brzegu, chwieje się — jeszcze moment i runą w bezdnie. Lecz ona nie widzi i nie czuje. Nic — prócz bezmiaru wewnętrznej rozkoszy, przenikającej dreszczem słodkiego ukojenia każdą kropelkę krwi w żyłach, każdy atom jej jaźni... Zmartwiała twarz, ścięte w rozchylonych wargach zęby, wywrócone ku górze oczy, przebłyskujące z pod ociężałych powiek wążką szparą zobojętniałych źrenic — całem biernie opuszczonem ciałem poddaje się ogarniającemu ją bezwładowi — i tylko rozrzucone szalonym pędem włosy jak złota zamieć podjątują ku obłokom i znów ulewą pieszczących, jedwabistych dotknięć spadają na nagie jej ramiona...

To szal!...

Jedna chwila takiego szału zdolna zatopić morze trawiącego duszę niepokoju.

O gdzie jesteś ty, co mi dasz tę chwilę zapomnienia?

Czy ty, przezysta, której wiecznie czujna cnota stoi na straży wylewów uczucia, jak włódarz z groźnie wzniesionym karbownikiem.

Czy ty, odmierzająca miłość skąpą miarą chciwej zysku przekupki.

Czy może ty, z wiecznie spragnionem ciałem i bryłą lodu w duszy, napróżno szukająca, jak zgłodniała hyena w mnogości zewnętrznych podniet tego ognia, którego nie masz w sobie.

Gdzieś ty?...

Od jednostkowych porywów, aż do zbiorowego rozpasania; z morza światła, oblewającego jaskrawymi potokami lśniąca nagość wabnych ramion, aż do nieprzebitych mroków, w których kształt wyczuwa się zaledwie przez dotknięcie rozpalonych ciał, których naprężoną ciszę rozdziera tylko świst gorących oddechów.

— Nie to i nie to!

...Oszalamiający nerwy rozgwar pijanego życia, brzęk szkła, opalowe skrzenia słodkich napojów, perlących się w cienkim kryształ, tętnienie rozszalałej krwi, zalewającej purpu-

rową fontanną mózg i oczy — majak!... Mno-
gość wrażeń zastępuje niedostateczną siłę
jednostkowego ich napięcia, rzeczywistość
splata się w jedno z wytworami obłąkanego
szaleńcem mózgu.

Co jest kształt i co barwa?...

Ona jest kształtem, nagość, i barwą ona,
z której rozpasanie zmyło wstyd, jak zimna
słota świeżość z obumarłego kwiecia. Ze-
wsząd jak gady pełzną drgające kawały ciała,
olbrzymie, przeorane fałdami nagie bryły, łą-
czą się, rozpadają, skłębiają się w niebosię-
żne bezkształtne grudy, buchające śmiechem
spienionych ust, zgrzytające połyskiem stra-
szliwych wilczych zębów.

...I z tej przewalającej się w konwulsjach
masy wyłania się jedna twarz... Zdaje się
wisieć w powietrzu... Z głębi bezprzestrzennej
dali wżerają się w mózg okrągłe, żółtawe
źrenice, rozświecone błyskiem zmysłowego
rozciekawienia, grube wargi o barwie wymo-
kłego w kałuży krwawego ochłapa z lekkim
szysterstwem składają się do pocałunku.

— Chłopczyku, pójdź! Ja kocham takich
młodych, miłutkich chłopczyków...

Jam te usta całował...

O wieczna zmore, o wieczna męko!

Tyle już lat, i wspomnienie jak żywy
ogień przepala duszę, krwiożerczy wampir
wysysa mózg i siły.

Gdybyż choć mieć odwagę skończyć z sobą!

Ha, ha!... skończyć z sobą? ja — co się
obawiam przez kładkę na strumyku przejść?

21 lipca.

Leon powrócił wczoraj później niż zwykle. Pawlukowa otwierała mu drzwi. Pół godziny słychać było w sieni przyciszony szept, chichot i nawet, zdaje się, odgłosy pocałunków. Do pokoju wszedł z hałasem, gwizdał głośno, rozmyślnie potrzącał lampę przy zapalaniu. Czuć było, że udaje swobodę, sam przed sobą stara się coś zamaskować.

W pewnym momencie spojrzał na mnie kilkakrotnie z uwagą.

— Śpisz? — zapytał przyciszonym znacznie głosem.

Nie odezwałem się.

Nagle przycichnął zupełnie i zaczął stąpać na palcach.

I to bezpośrednio po rozstaniu się z tamtą, może nawet z zapachem jej pocałunków na ustach!

Pocałunków? — nie, nie! Na samo przypusz-

czenie możliwości tego, odrywa się coś z tego pojęcia, które się wiąże z myślą o niej. Choć przecie — pozwalała mu przecie patrzeć na siebie takim wzrokiem, który więcej niż całował, który brał w posiadanie. A, wszystkie one z jednego — he, he — kruszcu!..

Zrana wstałem wcześniej, pragnąc uniknąć rozmowy z Leonem. Od pewnego czasu on sam i wszystko co mówi, drażni mnie więcej niż zwykle.

Lecz obudził się, gdym właśnie brał za kłamkę.

— Aa — przeciągnął się — dzień dobry ci! Co, już wychodzisz? bez śniadania?

— Tak, póki niema gorąca.

— Poczekaj! Umówiliśmy się z panną Janiną, że pojedziemy zrana łódką na smolarnię, więc może i ty pokazałbyś się nareszcie? Tembardziej, że wciąż dopytuje się o ciebie, powiada, że nie rozumie, jak można być takim odludkiem, obchodzić się bez towarzysztwa.

— Powiedz, że towarzyskim w znaczeniu *bawidamka*, czyli jak w danym wypadku

nawet *bawigąska* nigdy nie byłem. A zresztą, jeżeli o to chodzi, mam przecie stałe towarzystwo — Pawlukowej!

Spojrzał na mnie przelotnie i uśmiechnął się nieszczerze.

Wyszedłem.

Dlaczego nie wstał od razu do własnego domu, lecz skradł się jak kradziec? — W pierwszej chwili nie mógł sobie tej chwili przypomnieć. Teraz już wiem. Przekochał podpatrywać swoją żonę.

23 lipca.

Wrócił wcześniej, jeszcze przed zachodem słońca. Czy się coś popsuło w państwie duńskim? A może... dla Pawlukowej?!

Ciekawe zrobiłem odkrycie. Siedziałem długo w noc, nie zapalając lampy, patrząc w zamyśleniu na dalekie wody Niemna, migocące bladymi iskrami pod osłoną lekkiej przeźroczystej mgły. Cisza była martwa, tylko chrapanie Leona rozlegało się jak trąba alarmowa. Naraz w gęstych krzakach okalających dom rozległ się suchy trzask łamanej gałązki i po chwili wysunął się z nich cień, który chyłkiem zaczął się skradać pod dom. Zdwoiłem uwagę. Zagadkowy gość podsunął się pod okno izby, w której spała Pawlukowa, stał długo bez ruchu, jakby nasłuchując, wreszcie zbliżył się do naszego okna.

Omam nie krzyknąłem ze zdumienia. Poznałem Pawluka.

Dlaczego nie wszedł od razu do własnego domu, lecz skradał się jak złodziej?

W pierwszej chwili nie mogłem sobie tej zagadki wytłumaczyć. Teraz już wiem. Przychodził podpatrywać swoją Hankę.

Blizko dwie mile w nocy przez las i po to tylko, aby niczego nie dowiedziawszy się, powracać zaraz z tą samą niepewnością!

To jest siła zazdrości.

25 lipca.

Długo stała bez ruchu, spoglądając wślad za mną niemal z przerażeniem. Co myślała przytem? Żem waryat? Ha, ha, może była blizką prawdy!

Więc znów uciekłem. Tej ostatniej linii nie przestąpię nigdy, nigdy! Jeden krok tylko, cal — i strach przykuwa nogę do ziemi, w ostatniej chwili wpijają się w mózg zimnemi kleszczami straszne żółtawe źrenice.

Ach to wspomnienie, ta zmora przykuta jak cień do życia!!

A był moment, żem już myślał... ta jej zupełnie pierwotna prostota ducha, nie zdolna, zda się, do rozniecenia żadnych wewnętrznych rozterek!..

Może to zresztą skrupuły? Ha, ha!..

Leon ma rację. Są organizacje, dla których tak zwana niewiara jest wprost fizyczną potrzebą. I ona do nich należy. Te pulchne,

purpurowe usta, palące jak węgle oczy, te szerokie biodra, piersi, — i mając przytem za męża takiego zdechlaka jak Franek! Wygląda przy niej jak zeschły, schorzały badyl obok przepysznej róży.

Podobne jej natury skórą muszą wyczuwać ścigające je z pożądaniem spojrzenia. Zerknęła na mnie kilka razy z pod długiej rzęsy, na twarzy jej przebłysnął wyraz wewnętrzznego zaniepokojenia.

— Czego pan tak patrzy na mnie? Czy to pan niema książki przed oczami?

— A ktoby to chciał patrzeć w książkę, mając przed sobą tak piękną kobietę.

— Gdzie zaś piękna! Nie takie pan jeszcze w mieście widywał.

— Takiej nie widziałem. Niech no Hania nie chowa tak tych oczu. Jak Bóg dał, to na to, aby i ludzie mogli też oglądać.

— Hy, też pan coś!

Wzięłam ją za rękę, nie bardzo się broniła.

— Niech no Hania usiądzie na chwilę.

— Jakżeby to wyglądało, żebym ja z panem siedziała?

— A ot jak!

Pociągnąłem ją zlekka, też się nie broniła. Usiadła aż za blisko nawet, tak blisko, że buchający od niej żar bezpośrednio udzielał się memu ciału.

Zresztą po chwili udała chęć powstania.

— Niech mię pan puści lepiej. Coby to Franek powiedział, jakby zobaczył.

— A cóżby miał powiedzieć, cieszyłby się, że ma żonę, która się i ludziom podoba. Zresztą są rzeczy, które Pan Bóg dla wszystkich stworzył: powietrze, żeby każdy mógł niem oddychać, słońce, żeby każdemu na równi świeciło, wodę do picia, i piękne kobiety, aby każdy mógł na nie patrzeć i... całować.

— Hi, hi, też pan coś mówi, czy to pan z tej książki wyczytał?

— Może i nie z książki, ale w każdym razie prawdę mówię. A Hania pozwoliłaby się pocałować, co? pozwoliłaby?

Zasłoniła oczy ręką, lecz jednocześnie spojrzała po nad nią. Spojrzała tak, — że serce we mnie zastygło. Pochyliłem się ku niej, i naraz zerwałem się jak odrzucony piorunem.

Te wyświechtane plamy tłuszczu, uwydatniające piersi pod obcistym kaftanem, brrrr!!
Oprawa dla żółtych źrenic!

Uciekałem jak zając.

Co myślała o tem wszystkim?

Wszystko mi jedno. Dzisiaj wyjeżdżam. Niech dyabli porwą tę podłą wieś i wszystkie jej uroki. Spokój znów na dłuższy czas zburzony. Licho-ż mię skusiło posłuchać Leona i jechać w tę dzicz... aby być świadkiem jego brutalnych zalecanek. Wracam natychmiast. Teraz w mieście pusto, cała hołota na świeżem powietrzu, może nareszcie będę miał trochę spokoju, aby się zająć ukończeniem dramatu.

26 lipca.

Czy mi się przywidziało?

Z całego jej zachowania można było wynioskować, że jednak nie musi go tak bardzo kochać.

Dlaczego więc w takim razie pozwala mi tak widocznie nadskakiwać sobie?

Choć co prawda, co ma począć. Kobiety bywają niekiedy w trudnem położeniu. Trudno komuś powiedzieć — panie, wstrętne mi są twoje umizgi! — Przytem ona tak lubi towarzystwo, a tu — ja się rozmyślnie usuwałem — prócz niego faktycznie nie miałaby do kogo ust otworzyć.

To jej — ale!... — daje bardzo wiele do myślenia.

Patrzałem na nią bardzo uważnie, jakie to wrażenie sprawi na niej, gdym jej powiedział, że o ile się zdaje... lubią się z Leonem. Podkreśliłem rozmyślnie ten wyraz — lu-

bią — pozwalając domyśleć się, że nadaje mu inne znaczenie, lecz twarz jej pozostała zupełnie spokojną.

Twarz, bo wyrazu jej oczu nigdy nie można pochwyć. Zawsze prawie powieki ma spuszczone, lub manewruje tak oczami, że promienie jej źrenic omijają oczy rozmawiających z nią.

— Tak — odpowiedziała — ja pana Leona istotnie lubię bardzo. Ale... Dlaczego pan nigdy do nas nie przychodzi? Czy pan nie lubi towarzystwa?

— Owszem, jak czasem. Przyznaję, że wolałbym przepędzać ten czas w towarzystwie, ale myślałem, że będę może... przeszkadzać?

— Przeszkadzać?!

Spojrzała na mnie przelotnie, w źrenicach jej zamigotały ćmiące złotawe iskierki, które zaraz zgasła opuszczonymi powiekami.

— Jak pan to rozumie?

— No... bo zupełnie swobodnie można się czuć tylko z dawnymi znajomymi, ot jak pani

z Leonem. A tu na wsi, gdzie właśnie chodzi o tę swobodę!...

Przez chwilę nie odpowiadała, leniwie kreśląc końcem parasolki zygzaki na piasku.

— Gdybym była wiedziała, że ten tylko wzgląd pana powstrzymuje, byłabym go przymocą wyciągała z ukrycia. I z góry ostrzegam, że zawsze będę to robiła, ilekroć pan się do nas nie zjawi. Czy wobec tego przyrzeka pan poprawę?

Przyrzekłem dość skwapliwie.

Chociaż... czy nie mam ja tu odegrać roli tylko ostrogi podniecającej dla Leona?

* * *

Franek znów w nocy przychodził. Biedaczysko, gdyby wiedział!

27 Lipca.

Leon nie mógł ukryć zdziwienia, gdym mu pierwszy zaproponował pójście na Popielówkę.

— Więc nie wyjeżdżasz już?

— Rozmyśliłem się.

— Zaczynasz powracać do równowagi, to bardzo dobrze. Przyznam ci się, że gdyś mi z taką furją oświadczył, że natychmiast odjeżdżasz, myślałem, żeś bzika dostał.

— Jak widzisz, omyliłeś się.

— To bardzo dobrze. Więc pójdziemy.

A cóż twój dramat?

Uśmiechnąłem się w duchu z jego nieostrożności. Tem pytaniem zdradził się.

— Postępuje doskonale. Ale śpiesz się, bo szkoda czasu. Umówiliśmy się z panną Janiną, żeby iść na maliny.

Uważałem, że twarz mu się nieco przeciągnęła.

Mama Dworska od pewnego czasu z wielką

gorliwością zaczyna się bawić w siostrę miłosierdzia... szczególnie gdy teren do spełniania miłosiernych uczynków wypada w Kustowiczach lub najbliższej od nich okolicy.

I dzisiaj zastaliśmy ją gotującą się do niesienia ulgi cierpiącym. Była już w milej pastercie, w olbrzymim »pudermantlu«, który — zdaje się — miał jednocześnie tuszować niedokładności zbyt lekkiego z powodu upału ubrania, i z koszykiem w ręce, z którego wyzierał pędzel do smarowania gardła, zlepiiony jodyną w ostry knot.

— Jak to dobrze, że panowie właśnie nadchodzą! — wykrzyknęła na powitanie. — Kubaś, biedactwo, zachorował, zdaje się na dyfteryę, a nie chciałabym Janki brać z sobą. Możeby który z panów? Pan, panie Leonie? Odkupi pan choć trochę swoich grzechów.

Leon spojrział na mnie komicznym zezem.

— Owszem, pani dobrodziejko, jabym najchętniej, zawsze. Ale... ja właściwie nic a nic nie znam się na tem. Ale oto kolega Skalski studyował niegdyś medycynę.

— Tak — przerwałem — przez pół roku

i zaraz uciekłem. To najlepiej świadczy o mojem powołaniu. Zresztą, jeżeli chodzi o tę odrobinę wiadomości, toś i ty przecie studyował pierwotnie medycynę, dłużej i znacznie później odemnie. Musiało ci więcej pozostać w głowie.

Mama Dwórska ucieszyła się niezmiernie.

— Tak? o, to wyśmienicie. Nie wiedziałam, że z pana też kawałek lekarza. Teraz musi mi pan stałe towarzyszyć.

Leon znów spojrzął na mnie, tym razem z prawdziwą wściekłością, i nie rzekłszy już ani słowa, wziął kapelusz.

Omal nie pękłem z wewnętrznego śmiechu.

Janina siedziała w altanie. Była dzisiaj nieco bledszą niż zwykle, z czem jej zresztą było bardzo do twarzy, jak również i w tej różowej bluzce z lekkim wycięciem, obramowanem czarnymi koronkami, które zdawały się odzwierciedlać w alabastrze ciała.

Czytała Ibsena »John Gabryel Borkman«.

— Zna to pan? — zapytała.

— Czytałem kiedyś.

— A jak się pan na to zapatruje?

Podala mi książkę, zakreśliwszy paznokciem kilka wierszy.

Odczytałem głośno: »Jesteś mordercą. Popelniłeś największy grzech śmiertelny. Tyś zabił życie serca we mnie. Biblia wspomina o tajemniczym grzechu, dla którego niema przebaczenia... Ten wielki niedarowany grzech popełnia się, zabijając w innym człowieku życie serca... Porzuciłeś kobietę, którą kochałeś. To, co ci było najdroższem na ziemi, gotów byłeś zbyć, byle stąd zysk wyciągnąć. Tyś winien podwójnego zabójstwa. Zabójstwa, któregoś się dopuścił na swej własnej duszy i na mojej«.

Złożyłem książkę, spojrzenia nasze po raz pierwszy spotkały się na czas dłuższy. Oczy jej wydały mi się dziś jakieś ciemniejsze, głębsze. Może zresztą tylko skutek odmiennego oświetlenia?

— Jakie to głębokie, prawda? — Życie serca! — Tak, serce ma swoje życie i może niekiedy zamrzeć w żywej istocie. Biedna Ella!

— Hm, może to jest naprawdę głębokie, w każdym jednak razie cała ta rzecz jest o wiele mniejszą od tych wielkich wyrazów, którymi się tu określa. — Morderca, zabiłeś! — to jest zbyt silne. Wygląda to tak, jak gdyby było obliczone na uczucia pensyonarek.

— Dziękuję panu!

— Nie uważam, aby w tem powiedzeniu było coś ubliżającego. Użyłem tego wyrazu dla określenia wogóle istot wrażliwych, a że i pani do nich należy, to widać. Bo w gruncie rzeczy, czy istotnie można się zgodzić bez zastrzeżeń na wszystkie te wywody? Według mnie, są tu poruszone dwie kwestye, które należałoby traktować niezależnie jedna od drugiej: mianowicie, czy dla zawiedzionego serca istotnie nie pozostaje nic innego prócz śmierci, to raz, a następnie, czy kochając można wogóle wyrzeknąć się dobrowolnie przedmiotu ukochania. Otóż co do pierwszego punktu: czy zdaniem pani zawiódłszy się raz, nie można z równą siłą pokochać po raz drugi, trzeci itd., itd. — w miarę zawodów?

— Naturalnie, że nie. Zresztą to zależy...

— Od rodzaju tej miłości, chciała pani powiedzieć?

— Oczywiście.

A ja sądzę, że raczej od zasobu sił żywotnych człowieka.

— Od zasobu sił żywotnych? Byłoby to sprowadzeniem miłości do rzędu czegoś takiego!...

— Niczego takiego! owszem, z zachowaniem wszystkich jej tak zwanych najświętszych cech. Prawda, że codzienne życie daje przeważnie przykłady takiej niby stałej miłości, ale dlaczego? bo i ci ludzie są właściwie codzienni, z przytępioną wrażliwością, którzy na miłość nawet czasu nie mają. To uczucie, którem oni się zadowolają, to nawet nie miłość, lecz poprostu kontraktowe współżycie. Ale proszę zwrócić uwagę na ludzi wyskakujących ponad zwykły poziom, wielkich poetów, myślicieli! Każdy z nich kochał po kilka razy i zawsze z jednakim zapałem.

— Może właśnie dlatego, że ci wielcy pod innymi względami nerwowo są bardzo słabi.

— Przypuśćmy na chwilę! Więc ta siła nerwów w zastosowaniu do miłości jaką ma rolę odgrywać? pomagać do wytrwania przy dawniejszem uczuciu, czy też nie pozwalać poddać się nowemu?

— Jedno i drugie.

— A przecie jedno i drugie oznacza przymus, nieprawdaż? Cóż więc warta jest taka miłość, do zachowania której potrzeba aż przymusu, jakiejś ubocznej siły, choćby to była tylko siła własnych nerwów? — Nie, według mnie jest trochę inaczej. Miłość istotnie wchodzi do tak zwanego serca przez nerwy, nie chodzi tu jednak o nerwy silne, lecz raczej o zdrowe t. j. zdolne do przyjmowania wrażeń. Bo dlaczego zakochuję się w pewnej osobie? Ponieważ ta osoba posiada sumę cech, zdolnych wywołać we mnie stan miłości, nieprawdaż?

Przypuśćmy teraz, że znalazłszy już w kimś taką sumę, zakochałem się, lecz po pewnym czasie spotykam inną osobę, która prócz całej tej sumy posiada jeszcze jakiś plus. Co wówczas nastąpi? Czy moje nerwy, dla wpra-

wienia których w stan miłosnego napięcia wystarczało już jednej tej sumy, pozostaną teraz nieczułe, gdy nadto i ten plus zacznie na nie działać? Sądzę, że nie, jeżeli pozostaną zdrowe, t. j. nie utracą dawnej swej wrażliwości. A co następnie będzie, jeżeli kogoś spotkam nie z jednym, lecz z dwoma plusami, jeżeli z trzema?

— I tak dalej, i tak dalej, ha, ha, to bardzo wygodna teoria, lecz proszę zauważyć — tylko jednostronnie!

— Ha, proszę pani, *vae victis!* Miłość jest także jednym z przejawów walki o byt. Na chwilę zamilkła.

— Nie — odezwała się wreszcie — w tej teorii jest coś, w czym na razie nie mogę się połapać, jakiś sofizmat. Bo w takim razie zmienność byłaby prawie zaletą, świadcząc o wysubtelnionej wrażliwości. A przecie!... Byli przecie wielcy myśliciele, którym wrażliwości zaprzeczyć nie można, a którzy się nigdy nie kochali. Naprzykład Nietzsche, taki zdecydowany wróg kobiet!

— Z konieczności.

— Jakto z konieczności, nie rozumiem pana ?

— Może był wrogiem, ponieważ nie mógł kochać.

— Nie mógł ?!

Czułem jak mi krew uderza do mózgu. Poczułem również, jak na mnie spojrzała i zamysliła się.

I naraz ogarnęło mnie rozdrażnienie, bliżkie do brutalnego wybuchu.

— No nie mógł! Czy pani nie wie o tem, że są tacy, którzy nie mogą, nie mogą kochać, i tacy stają się z czasem wrogami kobiet, wrogami z konieczności ?

Spojrzała znów i spiesznie opuściła oczy, jakby nie chcąc mi dać poznać, że mogła zauważyć moje podrażnienie.

To mi dodało bodźca.

O, są tacy, są! Chcieliby kochać, pragnienie miłości jest całą treścią ich jaźni, a nie śmiał. Nie śmiać, bo nie mogą. To nieprzyjemne uczucie, prawda ?

Patrzała wciąż w ziemię. Lecz nawet mimo

opuszczonych powiek cała uwaga jej wzroku zdawała się być skupioną na mnie.

— He, he, pani nie odpowiada! Zresztą, co prawda, jako kobiecie trudno pani odpowiedzieć. Kobietom obcy jest ten stan. One zawsze mogą dawać wyraz swej — he, he, — *miłości!* Ale za to może pani zechce mi dać wyjaśnienie w innej kwestyi, która właśnie tylko ze stanowiska kobiecego może być rozstrzygniętą. Czy według pani, aby się oddać komuś kobieta musi koniecznie kochać tego, komu się oddaje ?

Nie drgnęła usłyszawszy to pytanie. I nie starała się patrzeć na mnie z udaną swobodą, jak to czyniły inne, gdym je o to samo zapytywał. Przeciwnie, teraz nawet ową ukrytą uwagę jej wzroku przestałem naraz uczuć na sobie.

— Ja nie wiem — odrzekła jakimś dziwnie wymęczonym głosem — zupełnie nie wiem!

Ten jej stan oddziaływał na mnie jak zaraza. Po chwilowym wybuchu ogarnęła mnie naraz zupełna apatya, granicząca niemal z osłu-

pieniem. Żadnej myśli, martwe znieczulenie na wszelki ból, tylko gdzieś tam w głębi coś poruszającego się leniwie, jak słaby odgłos zupełnie zrezygnowanej rozpacz.

Wszystko jedno!...

Postałem przed nią chwilę i bez słowa wysunąłem się cicho z altany.

Czy wyjeżdżać? dziś zaraz?...

31 lipca -- noc.

Pragnienie, zalewające piersi warem kipiącej lawiny! gdzie jest siła, zdolna uśmieżyć twoje wrzenie po za *nią* samą?...

Jestem nieprzytomny. Nieprzytomny od tej chwili...

To nie rzeczywistość była, lecz jakiś sen górączkowy, cudna wizya, która weszła we wszystkie moje nerwy i przepoiła je nieutuloną tęsknotą za swoją nieuchwytną, nieziemską istnością.

Byłem jak zaczarowany, bez woli, bez ruchu, bez oddechu.

Rozbierała się szybko...

Czułem, że wchłaniam oczami truciznę, która mię zabije, i nie mogłem oczu zamknąć. Byłbym ją zresztą widział nawet przez spuszczone powieki.

Podeszła nad stromy brzeg i przegiąwszy się, zaczęła upinać włosy na tyle głowy.

Słońce oświetało ją z boku. Od różowego jej ciała cała przestrzeń lekkiej jak pajęczyna bielizny wypełniła się różową poświatą. Złożyła ręce jak do skoku i zawahała się. Potem jeden nagły rzut, — i naraz jak Wenus z piany morskiej wyłoniła się przedemną w olśniewającej nagości, cudna, wiotka, opromieniona gorącym słońcem, z rubinami niewielkich dziewiczych piersi... Biała mgła zamściła mi wzrok... Za chwilę głuchy plusk, seledynowa toń rozstała się, obejmując z lubością gładkie ciało, i tylko ciemna, uperlona kroplami wody główka zakołysała się jak wodna lilia pośród biegnących kołami fal.

Wyłem. Byłbym wypił wszystkie te atomy wody, które ocierały się o nią, chłonąc ciepło jej ciała.

I naraz ogarnęło mnie pragnienie posiąść coś, co pozostawało choć przez chwilę w bezpośrednim zetknięciu z tem ciałem, posiąść choćby za cenę życia. Zapomniałem o wszystkim, cały streściłem się w tem jednym nieprzepartem, ślepem pragnieniu, pełznącym myślą nad stromy brzeg, gdzie były rozrzucone

części jej ubrania... pachnące jej oddechem... może ciepłe jeszcze jej własnym ciepłem!...

I mam to, czegom pragnął. Mam i wydrzeć sobie nie pozwolę. Ten kawałek batystu na mem sercu, to ona sama, to jej pachnąca młodą wiosną dusza, to moje wszystko!...

Wszystko? Więc to moje wszystko?

Tak, to już wszystko. Ten zmięty gałganek, to jest wszystko, co ja mogę mieć od niej. Reszta, ta cała olbrzymia reszta, która jeszcze poza tem pozostaje, to już nie moje, nie dla mnie.

Nie dla mnie!...

Wyklęty między żyjącymi!...

Ten, który ma tę resztę posiąść, śpi spokojnie.

Te krwiste wargi, ostre zęby, ten spokojny miarowy oddech — tak, to życie!

Wpijam się w niego ssawkami rozgorzałych źrenic, i gdyby promienie mych oczu zdolne były przenieść tę siłę, która się we mnie gromadzi!...

Ani drgnie nawet. Jego chrapanie uderza we mnie jak świst bata.

Więc to on!

On będzie brał w objęcia to wiotkie ciało,
on lubieżnym dotknięciem będzie kasał rubiny
tych piersi... Dotknięciem tych samych rąk,
które z równą lubością ślizgały się po ciele
Pawlukowej!...

Mózg kostnieje w głowie, myśli rozpeł-
zają się bezładnie, jak czarne pijawki z ode-
tkanego słoja.

*Ważne to wygłoszenie
głębokie, prawdziwe*

1 sierpnia.

Nie mogę odjechać. Coś przytrzymuje mnie
tutaj jak żelazne sidła pojmanego zwierza.
Wydieram się w bólu śmiertelnym i nie
mogę.

Czy ma mię spotkać los owej ćmy, leca-
cej na płomień świecy?

4 sierpnia.

Mimo najbaczniejszej uwagi nie mogę spostrzedz nawet cienia różnicy w postępowaniu jej względem Leona i względem mnie.

A jednak Leon jest bardzo pewnym siebie, tak pewnym, jak tylko może być człowiek zupełnie przeświadczony o swoim szczęściu.

Gdyby jednak był mniej pewnym, gdyby wcale nie miał tej pewności, to jakież stąd zysk dla mnie?

Czuję już na swych skrzydłach gorąco płomieni, które mię mają pochłonąć...

5 sierpnia.

Oczywiście musiałem się wtedy pomylić. Tak, niezawodnie. I gdybym był wtedy nie zaprzestał wczas, może i mnie by to samo spotkało. Zresztą ślady paznokci na twarzy Leona najlepiej świadczą o jej romansowem usposobieniu.

A jednak wszelkie pozory wskazywały na co innego!

Przez cały ranek przyglądałem jej się z taką ciekawością, że wreszcie zwróciła na to uwagę i uśmiechnęła się nieznacznie.

— Czego pan tak patrzy?

— Hania nie wie, czego?

— Niel

— No, a to!... — przesunąłem paznokciami po twarzy.

— Co, czym się powalała?

— Niech no Hania nie udaje. Słyszałem przecie.

— Ja nie wiem, o co panu chodzi.

Wzruszyłem ramionami, nie rozumiejąc na prawdę, co jej zależy na przeczeniu.

— No mniejsza z tem, skoro Hani podoba się udawać. Ale tak szczerze mówiąc, tom się tego po Hani nigdy nie spodziewał.

— Niby dlaczego?

— No, pozwalala przecie Hania na to i owo, pozwalala się głaskać!...

— E, głaskanie głaskaniu nie równe. A takiego to ja nie chcę. Ja mam Franka, żeby mię głaskał. Żem pożartować z sobą pozwalala, to prawda, proszę pana, bo dlaczegóżby się nie pośmiać, nie pożartować, kiedy młoda. Ale żeby aż do tego miało przyjść, że taki pan niby edukowany, i tak!...

W głosie jej zadźwięczała nuta głębokiego rozżalenia, świadcząca najlepiej o szczerości jej oburzenia.

A przez tyle czasu byłem o niej wręcz odmiennego zdania. Tak, naturalnie! Jej wrzekomie zdziwienie z powodu mej niewytlomaczonej ucieczki powstało we własnej tylko mojej wyobraźni. Teraz przypominam sobie,

że postępowanie jej ze mną po owem zajściu zupełnie się nie zmieniło, a przecie musiałyby być inaczej, gdybym się nie mylił.

Leon jest wściekły.

Ujrzawszy na jego twarzy krwawe rysy, umyślnie udałem wielkie zdziwienie.

— O, a tobie co się stało?

— Upadłem na krzak.

— Tak? kiedyż to było? Przecie wczoraj byliśmy cały dzień razem i nie zauważyłem tego?

— W nocy wychodziłem. Widocznie spałeś, więc nie mogłeś słyszeć.

— Hm, możliwe. Ale to, zaiste, dziwnie złośliwy krzak!

Spojrzał na mnie trochę podejrzliwie i zachmurzył się.

Najkomiczniejsze, że i na Popielówce tłomaczył się w ten sposób. Janina przykleiła mu nawet własnoręcznie na twarz plasterki angielski.

7 sierpnia.

Klamka zapadła. Leon wypytywał mnie dzisiaj o adres jakiego dobrze mi znanego jubiera, któremu możnaby polecić zrobienie pierścionka z dwoma związanymi rękami i z napisem w środku — *Na wieki!* — Prosił nawet, bym go wyręczył w załatwieniu tej sprawy.

Więc to już?!

Dziwna rzecz! O tem, że może zostać jego żoną, wiedziałem, ale nie myślałem. Była to jakby świadomość potencjalna, która tkwiła we mnie, ale nie dawała się odczuć. Teraz, gdy mi powiedział o tym pierścionku, świadomość owa poruszyła się nagle rojem dręczących myśli, czuję ją nieustannie w mózgu, a czucie to jest tego rodzaju, jak gdyby mózg rozgrzebywano mi żelaznymi widłami.

I po co tu siedzę, na co czekam?

10 sierpnia.

Nie mogę wymóżyć na sobie, aby jej nie widzieć. Czuję, że piję truciznę, i nie mogę. Coś mnie tam ciągnie, jakaś bolesna, pełna głuchej rozpaczyciekawość.

Jak ona wygląda teraz? czy nastąpiła w niej jaka zewnętrzna zmiana z chwilą, gdy oświadczyła się już ze zgodą być komuś żoną.

Żoną!...

Wyobrazić ją sobie w niektórych sytuacjach małżeńskiego pożycia, stanowiących treść małżeństwa!...

Odczuwam niemal chrzęst skracających się w głowie zwojów mózgowych.

A jednak to nastąpi.

I myśl o niej, ale o niej w tych właśnie sytuacjach, nie opuszcza mnie ani na chwilę. Inne pokrewne myśli są tylko jakby zwałem chmur, ciężkich, lecz sunących po powierzchni;

ta jedna — gwoździem, wbijającym się coraz głębiej, głębiej w mózg.

Dziś ją tylko widziałem, gdyż przemówić nie miałem ani razu sposobności. Leon nie odstępował jej ani na chwilę.

Chodzili po ogrodzie, jak zwykle bardzo blisko siebie, ocierając się ramieniem o ramię. To przedstawia więcej nawet uroku, niż chodzić pod rękę.

Siedzieliśmy z mamą Dworską na ganku.

Mówiła coś, mówiła bez ustanku, lecz za ledwie małą część z tego przenikała do mojej świadomości.

— ...Młodość, zapewne! Każda marzy o szczęściu, lecz czy szczęście takie, jakim się ono młodości przedstawia, jest istotnem szczęściem? Czy po chwili uniesienia nie następuje często zawód gorzki, ale już nieodwołalny? Czy mało mamy przykładów złamanych istnień, dla których jedyną osłodą jest myśl, że przecie to ciężkie życie nie jest wiecznem? Ja sama... Ale o tem zresztą już zapóźno wspominać. A dlaczego to wszystko? Bo młodość patrzy przez kolorowe szkła i nie-

chętnie słucha głosu doświadczenia. Ale dlatego właśnie, że tak jest, rodzice powinni czuć — naturalnie mówię tu o rodzicach młodych panien — czuć, i w razie potrzeby użyć całej władzy rodzicielskiej, choćby to chwilowo miało nawet wydawać się dzieciom okrucieństwem. To jest obowiązek ciężki, lecz w każdym razie jest obowiązek i dlatego gdy na mnie przyjdzie...

W tej chwili Leon z Janiną wyszli z ogrodu i skierowali się w stronę rzeki.

— Czy pani dobrodziejka nie ma ochoty przejść się trochę?

— Nie, tutaj taki miły chłód! Przytem... tak rzadko mamy sposobność pomówienia z sobą, a o tylu rzeczach chciałabym mówić! Zacisnąłem zęby.

Mówiła jeszcze, zdaje się, o tem, jakby ona postąpiła, gdyby Janina zrobiła niewłaściwy wybór, że nie zawahałaby się przed niczem, że...

Trzeszczała jak kołowrotek. Wreszcie przestałem zupełnie słyszeć i rozumieć.

Myślą gonilem za tamtymi.

Posuwali się zwolna nad samym brzegiem, ginęli za drzewami, i znów sylwetki ich ukazywały się na tle jasnego nieba.

O czym oni mówią? Jak on ją nazywa, ona jego? — »Mój, moja, moja jedyna, do grobu jedyna?« — Naturalnie, tak, bo dla czegoż nie mieliby już teraz brać się tymi wyrazami we wzajemne posiadanie? — »Mój, moja!...«

W pewnym momencie straciłem ich zupełnie z oczu. Napróżno wyteżczałem całą uwagę, lustrowałem oczami każdą grupę krzaków — nic! Ogarniało mię z niczem nie liczące się pragnienie ujrzenia ich natychmiast za jakąbądź cenę, przekonania się, czem są zajęci w tej chwili, jużem tracił możliwość świadomego opierania się temu pragnieniu... I naraz wstrząsnąłem się jak człowiek śpiący, którego budzi uporczywe kołatanie do drzwi. Kołatanie to słyszy się już w ostatnich kilku chwilach ulatującego snu, lecz całe wstrząśnienie przypada dopiero na moment zupełnego ocknienia.

...— Proszę pana!!

Obejrzałem się prawie nieprzytomnie.

— Co takiego?

Mama Dworska spoglądała na mnie trochę zdziwiona.

— Pytałam właśnie, czy panowie dawno znacie się z panem Leonem?

— Z Leonem? O, tak znamy się oddawna — A czy, proszę pana... Zdaje mi się, że w obecnych stosunkach prawo nie jest tak bardzo zyskownym zawodem?

— Zyskownym? — Uniosłem się nieco na miejscu, gdyż wydało mi się, że za wzgórkiem przesunął się barwny kapelusz Janiny. — Tak, chociaż wszystko tu, jak zresztą i w każdym innym zawodzie, zależy od zdolności

— Hm, zdolności, tak! A proszę pana, nie wiem właściwie, pan w jakim zawodzie pracuje?

— Ja? — Przerwałem na chwilę. Tak, nie omyliłem się. To byli oni. Weszli na wzgórze i zatrzymali się na najwyższym jego punkcie, wcale niedaleko od nas. Zrobiło mi się niemal wesoło. — Ja, proszę pani, jestem pasorzytem, żyję z procentów.

Spojrzała na mnie z widocznym uznaniem.

— Pasorzytem, mój Boże, pozazdrościć panu można...

Znów przestałem rozumieć, co mówi do mnie. Widok Janiny przykuł do siebie całą moją uwagę. Stała zwrócona twarzą w stronę rzeki, wskazywała coś zdjętym z głowy kapeluszem. Jej wiotka kibić gięła się za każdym ruchem, wiatr burzył pukle włosów i oblepiał szczelnie dokoła nóg lekką materię sukni, uwydatniając zgięcia pod kolanami i wysokie biodra.

— Dziecko — mówiła tymczasem mama Dworska, patrząc również na nią — to dziecko jeszcze. Dziś mogłaby z równym spokojem wyjść za każdego, kto jej się choć trochę podoba, bo serduszko jej śpi jeszcze. Ale gdy przyjdzie ta chwila!... Bo to, proszę pana, z panem jako przyjacielem pana Leona mogę, zdaje się, mówić otwarcie. Może i nie zły chłopiec, ale nic nie ma i niewiadomo, kiedy będzie miał. A biorąc żonę przyjmuje się obowiązki, o których zawczasu należy pomyśleć. Trzeba zaraz urządzić dom, potem znów dzieci mogą przyjść...

Doznałem takiego uczucia, jak gdyby od szczytu głowy przez mózg i serce przebito mnie zimnem ostrzem.

— Dzieci!... — I naraz w całej jaskrawej ohydzie stanęło mi przed oczami wszystko to, co się z tem pojęciem wiąże. Galaretowate rozpływanie się tych wiotkich członków, sine obrzękłości pod oczami, olbrzymi brzuch, rozpierający biodra...

Zerwałem się, jak opętany.

Mama Dworska spojrzała na mnie z zaleknieniem.

— Co panu takiego?

— A to... — otarłem zimny pot z czoła. — Zdawało mi się, że ktoś przejechał!

— Konno może? To pewnie pan Korbiel. Mój Boże, tak! Miał być właśnie na obiedzie, a ja zapomniałam.

Powstała z nadzwyczajną szybkością.

— Przepraszam, ale muszę na chwilę do kuchni!

Skorzystałem z tego i uciekłem.

A jednak to musi nastąpić!

12 sierpnia.

Znów przez kilka dni nie widziałem jej, lecz zdecydować się na to, aby odjechać — nie, tego nie mogę! Nie mogę i nie będę mógł. Będę tu stróżował jak pies na łańcuchu, aż to nastąpi. A potem?... Co nastąpi potem, tego nie mogę sobie wyobrazić.

A myślę o tem bez ustanku. O niczem innym, tylko o tem. Po całych dniach leżę beczynnienie, zmartwiały i głuchy na wszystko inne, tylko ta jedna myśl brzęczy mi nieustannie w mózgu, chodzi po mnie całym jak wiatr po pustym stepie, i skomli, i rozoruje każdy nerw, każde włókno ciała.

Co za męka!

Żeby przynajmniej mogło pozostać na wieki tak jak teraz. Nie widzieć jej, lecz czuć ją niedaleko, ale taką, jaką jeszcze była do niedawna, żeby nikt nie mógł do niej — moja! — powiedzieć.

Zresztą, czym ja jej przez ten czas nie widział? Nieprawda, tylko sam się nie pokazywałem. Widywałem ją codziennie, zakradałem się jak złodziej, żeby choć zdaleka spojrzeć na nią, a zawsze widywałem ją z nim, zawsze z nim!...

I ja tu nic nie mogę zrobić, żeby ulżyć swojej męce, nic! Nie mogę nawet jęku wydać z siebie, tylko położyć się pomostem i oczekiwać, aż przejdą po mnie.

Nic nie mogę.

* * *

Przyszła sama, żeby się przekonać, co się ze mną dzieje, dlaczego się nie pokazuję!

Czy może być większe okrucieństwo?

Lecz to okrucieństwo sprawiło mi niewysłowioną rozkosz, taką rozkosz, jakiej podobno doznaje powieszony w ostatnim momencie swego życia, gdy krew zaleje już jego mózg.

I nie chcę już opierać się dłużej. Niech i mój mózg krew zalewa, niech płomienie świecy ogarniają mnie niszczącem tchnieniem.

14 sierpnia.

Leon czuje się na mnie rozżalony, a raczej zgorzogniony jest mojem zachowaniem się w ciągu ostatnich paru dni.

Dzisiaj powiedział mi to otwarcie.

— Wiesz przecie, jakie zamiary mam względem panny Janiny, nigdy nie starałem się ukrywać tego przed tobą, więc przyznasz sam, że obecne twoje postępowanie...

Cała powolnie nagromadzona niechęć ku niemu zawrzała nagle we mnie duchem ślepego przeciwieństwa.

— Nie podoba ci się? A gdybym i ja miał takie same zamiary?

— Ty?!

Po ustach jego przewinął się ledwie dostrzegalny uśmiech pobłażliwej ironii.

Straciłem panowanie nad sobą.

— Tak, ja! Dlaczegożbym ja nie mógł żywić takich samych zamiarów, co? dlaczego?

Spojrzał na mnie przelotnie i opuścił oczy. Przez chwilę zdawał się ważyć w sobie odpowiedź.

— Pytasz, dlaczego? To także dziwne. Choćby dlatego, że ja te zamiary dawniej miałem, o czym wiedziałeś bardzo dobrze, sądziłem więc, że jako mój przyjaciel!... Zresztą zechciej mię zrozumieć, że zwracając ci uwagę, występowałem również jedynie jako twój przyjaciel, bo wiedz o tem, że twoja rola między nami dwójgim (podkreślił te wyrazy!) może się wydać co najmniej — że nie chcę użyć innego wyrazu... — dziwną. I to nie tylko w moich oczach. A tego chciałbym ci oszczędzić.

Wściekłość dławiła mnie formalnie, przez chwilę bełkotałem coś niezrozumiale.

...— Oszczędzić, ha, ha!... Jego zamiary!... On występuje jako mój przyjaciel!...

Nagle podstąpiłem tuż ku niemu, prawie przytłaczając go do ściany.

— Skąd ja mogłem wiedzieć o intencji twoich zamiarów? mówiłeś mi o nich? Czy może miałem je sobie wysnuć z brutalnych

zalecanek, które jednocześnie uprawiałeś? Nie próbuj zaprzeczać, wiem o wszystkim! I twoje zamiary względem niej były takie same jak i względem Pewlukowej. Dla ciebie każda kobieta przedstawia się tylko jako wynajęty teren dla uprawiania ćwiczeń gimnastycznych. Lecz od tych intencji ja ją obronię — rozumiesz? — ja! bo moje zamiary są inne.

Zbladł nagle i począł drżeć ze wzruszenia. Przez chwilę zdawało mi się, że rzuci się na mnie, lecz machnął tylko ręką.

— Posunąłeś się za daleko — rzekł głucho — ale... składam to na karb twego wogóle nienormalnego stanu. Nie mówiłem ci nigdy o swoich zamiarach, tak, istotnie! Formalnie jesteś w zupełnym porządku. Idźże swoją drogą, dokąd cię twoje czyste intencje prowadzą... i niech ona sama między nami rozstrzygnie.

Na ustach jego zjawił się znów gryzący uśmiech, którego już nie starał się ukrywać, i z tym uśmiechem wyszedł. Za progiem, zdaje się, nawet się głośno roześmiał.

Upadłem wyczerpany, blizki spazmów.

17 sierpnia.

Pcha mnie jakaś ślepa siła, której opierać się nie mogę i nie chcę.

Nie odstępuję jej ani na krok...

Co ona o tem myśli?

Wszystko mi jedno.

Nie odstępuję nawet wtedy, gdy Leon jest przy niej. Doznaję wówczas takiego uczucia, jak gdybym był bezcielesnym cieniem, zawieszonym między nimi, nędznym strzępem, włokącym się za ich stopami, niczem... Coś się wówczas rwie we mnie, uderza mię w twarz, miażdży na pył przed samym sobą. Lecz nie ustępuję.

Leon udaje zupełną swobodę, śmieje się, dowcipkuje. Koło mnie przechodzi, jak koło pełzającego gdzieś w pyle robaczka, nie widzi mnie zupełnie.

Zresztą on nawet nie udaje, on naprawdę jest pełen wesela i swobody.

Usiłuję i ja nie widzieć go... i tkwi mi w oczach jak ość, odczuwam go przez cztery ściany!

18 sierpnia.

Mama Dworska znów wypytywała mnie (nie bardzo dyskretnie), kiedy napewno Leon zacznie coś mieć, i w jakiej mniej więcej ilości. Wspomniała też coś o moich procentach, o ile mi się zdaje, z westchnieniem.

* * *

Dlaczego ona mnie nie odpędzi od siebie jak natrętnego psa, dlaczego nie razi jej ta nędzna rola, jaką wobec niej odgrywam?

A chwilami mam wrażenie, że mnie raczej pociąga ku sobie.

28 sierpnia.

Korbiel wyprawiał dożynki.

Byłem tam naturalnie przez cały czas, bo i Janina była.

Wiejska muzyka rznąła bez ustanku, piwo lało się strugami, chleb, wędzona słonina i kwaszone ogórki znikwały stertami. (Mama Dworska uprzejmie dopomagała gospodarzowi w podejmowaniu gości).

Tańce odbywały się dokoła gazonu przed domem. Kilkadziesiąt par, tworzących jedno olbrzymie koło, kręciło się tupając bosemi nogami, porywając za sobą w zawrotny wir fale ciężkiego zastałego powietrza. W kłębiących się, rudych od blasku latarni obłokach pyłu, buchającego z pod nóg, z furczeniem latających jak skrzydła parcianek i spódnic — wyglądało to wszystko jak gorączkowy jakiś, pociągający na łeb w przepaść zawrót głowy.

Leon tańczył na równi z innymi, różniąc

się tem tylko od reszty »towarzystwa«, że co chwila zmieniał danserki: Naturalnie! to leży w jego usposobieniu.

Dłużej tańczył tylko z Pawlukową. Wspólna namiętność do tańca pogodziła ich. I trzeba przyznać, że tworzyli dobraną parę. On — wysoki, barczysty, nawet z tym wyrazem zachwalej bezczelności na twarzy, i ona, kształtna, zwinna, z roziskrzonymi zabawą oczami, purpurą pełnych ust i spływającymi na kark z pod białego czepca pukłami ciemnych włosów — oboje wyglądali jak uosobienie siły, młodości i ognia.

Wszyscy mimowoli zwrócili na nich oczy, mama Dworska zaczęła nawet klaskać w dłonie.

Oblecieli parę razy dokoła, Hanke zaczęło już widocznie »rozbierać«. Przybladła nieco, mocniej zwisła na jego ramieniu, oczy jej stały się jakby większe, bardziej płomieniste.

Korbiel mlasnął szeroko ustami i pochylił się do mego ucha.

— Kęsek, panie, co!

Roześmiał się i poklepał po ramieniu Pawluka, który stał tuż obok, pochyliwszy bar-

dziej jeszcze swoją cherlawą postać, zdając się sam jeden nie podzielać ogólnego uznania.

— Dał ci pan Bóg babę, dał, ale widzisz... chciał raz kiełbik połknąć szczupaka, a szczupak już go w zębach trzyma, he, he! Nie dasz ty jej, chłopie, rady, nie!...

Pawłuk nic nie rzekł, tylko w jego głęboko zapadniętych oczach błysnęły ponury ogień. Uważałem, że niedługo potem wycofał żonę z tanecznego koła i poszedł z nią.

Siedzieliśmy z Janiną na ganku.

Gdy jestem z nią sam, ale tylko sam, wówczas jest mi dobrze. To jest nie jest mi dobrze w tem znaczeniu, abym się miał czuć szczęśliwym, nie! Jest to tylko jakiś dziwny stan ogólnego bezwładu, w którym myśl nieruchomieje, nic się nie czuje i o niczem się nie wie, stan taki, jakiego musi doznawać konający w momentalnej przerwie między jednym a drugim atakiem śmiertelnej agonii.

Lecz przyszedł Leon i stan ten odrazu pierzchnął. Odrazu w mózgu wszystko się zwichnęło, doznałem uczucia zupełnej zębności, dziwnego zdrobnienia własnej osobowo-

ści, zdrobnienia aż do rozmiarów pyłku, którego nawet krzyk najstraszniejszego bólu, gdyby mu danem było krzyczeć, zawsze mógłby się wydawać tylko czemś nędznym, śmiesznym... Piekące upokorzenie paliło w oczach jak gorąca zoła...

Usiadł obok, poprosił Kubę o szklanke wody.

— O — zaprotestowała — na to nie pozwolę. Taki zmęczony, i wodę pić!

— Nic mi nie będzie. Mogłoby zaszkodzić, gdybym się nie ruszał, ale ja właśnie przyszedłem, żeby prosić panią, i sądzę, że przez odmowę nie zechce mię pani narazić na chorobę.

— Dobrze — zgodziła się — ale z warunkiem, że tylko raz dokoła. Przyrzeka pan?

— Ależ naturalnie, tylko raz!

Stanęli w kole, wziął ją w objęcia.

Zaćmiło mi się w oczach, czułem, że wraz z nią uchodzi coś ze mnie jak krew, życie uchodzi. Przytrzymałem się poręczы ganku, żeby nie biegnąć za niemi, nie ryczeć z rozpaczы. — W jego objęciach, przytulona do jego

piersi! — Nie mogę, nie, nie mogę. W czyichkolwiek, byle nie w jego. Dopuszczać do tego, to śmierć, na samą myśl tylko czuję już na sobie zimny powiew jej skrzydeł. A ja chcę żyć, chcę... choćby za cenę zbrodni, za cenę cudzego życia!

Ogarniał mnie szal, krwawe płaty latały przed oczami...

Zatrzymali się wreszcie, prowadził ją na miejsce.

Zbiegłem z ganku, wyrwałem mu ją prawie przemocą z rąk.

— Ja muszę z panią pomówić, natychmiast!

Ciągnąłem ją gdzieś w głąb ogrodu — po co? — niewiem! Może tylko odruchowo, byle dalej, jak najdalej od niego.

Czułem jednocześnie, jak się coś gromadzi we mnie, jakiś rozpaczliwy rozpęd, z którego istoty nie zdawałem sobie żadnej sprawy, lecz który pchał mnie do czegoś z coraz większym naporem, jak siła rozpędowa walący się złom skały, i którego nieznane mi jeszcze

skutki naprzód już napełniały mnie dzikiem przerażeniem.

Drżałem, gniotłem jej ręce, bełkotałem coś bez związku, wyęczałem resztki sił, wreszcie straciłem wszelką moc rozumienia czegokolwiek.

Porwał mnie jakiś szalony wir słów, skowytów, niezrozumiałych wykrzykników, który ze mnie wytryskał, lecz jednocześnie unosił mnie z sobą, zdawało mi się, że walę się w jakąś otchłań, której czarna ziejąca próżnia jest mną samym, moją rozpaczą, nerwami, włóknami mojego ciała, i ja to wszystko łamię, kruszę na strzępy, miazdżę, doznając szalonego bólu i jednocześnie niewysłowionej rozkoszy samounicestwienia.

Obudziło mnie coś będącego jednocześnie przeraźliwym krzykiem, który rozdarł mi uszy, i jaskrawym błyskiem, który rozświetlił czarną otchłań przed oczami... Żona!... —

Ostatnie dźwięki tego krzyku drżały jeszcze na moich nerwach.

Zachwiałem się, spojrzałem obłąkanym wzrokiem.

Janina trzymała moją rękę, mówiła coś. Mówiła spokojnie, pamiętam to, dziwnie spokojnie. I nie patrzyła na mnie, także pamiętam: gdzieś w przestrzeń, która i mnie ogarniała, ale nie na mnie.

— ...Co ja do pana czuję, tego powinien pan być dawno się domyśleć. Ale... czy pan się dobrze zastanowił, czy ja naprawdę zapewnię panu to szczęście?

Spoglądałem na nią w takim bezmyślnym osłupieniu, jak gdybym ujrzał przed sobą ucieleśnienie wizji sennej.

Więc to istotnie było?... ten krzyk!... I ona się zgadza?...

Tak, zgadzała się. Czułem to, nie potrzebując o nic pytać.

I naraz zatrząśłem się pod wpływem bezmiaru radości, która streściła się w jednej przenikającej mię całego jasną błyskawicą myśli — nie jego! — Lecz jednocześnie całe owo nieświadomie przeczute przerażenie teraz powstało we mnie jak straszliwy upiór, podnosząc mi włosy na głowie: — a potem co? —

W całej jaskrawości wyobraziła mi się pewna chwila, która konsekwentnie musiała teraz, musiała nastąpić, a w samym przeczuciu której każda kropla krwi we mnie trzęsła się trwogą, i pierwszym świadomym uczuciem, które się we mnie zrodziło, była nieprzeparta chęć ucieczki.

Zostałem jednak.

Janina odprowadziła mię do domu, później zjawiała się mama Dworska, mówiła coś do mnie wycierając oczy chusteczką, pocałowała mię nawet w czoło.

Pozwalałem wszystko robić z sobą, spoglądając na wszystkich mniej więcej tak, jakby spoglądał więzień, który dostał się w ręce ludożerców, i nad którym — przed spożyciem go — spełniają pewne rytualne obrzędy.

Świadomość i czucie powróciły mi wtedy dopiero, gdyśmy już nad ranem wracali całym towarzystwem do domu, gdym ujrzał obok siebie Leona.

Ranek był precudny, wonny, świeży, rumiany.

Umyslnie pozwoliłem Leonowi iść na-
przód z Janiną. Nie wiedział jeszcze o niczem
i jak zwykle był wesół i pełen swobody. Lecz
teraz widok jego uśmiechniętej twarzy roz-
pierał mi piersi jakimś dzikim tryumfem.
Pragnąłbym go być zostawić w tej nieświa-
domości jeszcze długo, bardzo długo i przy-
glądać mu się tak zdaleka...

Byliśmy na połowie drogi, gdy od brze-
gów Niemna zaczęły dolatywać odgłosy zmie-
szanych krzyków i zawodzenia.

Mama Dworska przestraszyła się nie na
żarty.

— Boże, czy nie na Popielówce!

Przyspieszyliśmy kroku i wkrótce prze-
konaliśmy się, że krzyki dolatywały z za Nie-
mna, od strony chaty Pawluków.

Łódka była u brzegu, wsiedliśmy wszyscy.

Przed chatą tłoczyła się gromada ludzi,
a pośród nich tarzał się po ziemi Pawluk, ry-
cząc jakimś obłąkanym, straszliwie monoton-
nym głosem, w którym jednak czuć było
wszystkie odcienie bólu, począwszy od sko-
wytu kopniętego psa aż do przelazanego,

ciągnącego nerwy jęku wypruwanej z ciała
duszy.

— ...Hanusz moja, Hanusz, Hanusz!...

— Co tu takiego, co?

— A zamordował, chara, kobietę swoją
zamordował!

— Co?!

— O — w sieniach leży!

Wpoprzek sieni, przewrócona bokiem,
jakby opierając się nieco na łokciu zeszy-
wniałej ręki, leżała Hanka, w jednej koszuli,
jak na nią widać śmierć spadła, z zadzierż-
gniętym dokoła szyi powrozem, po którym
pozostały sino-krwawe pręgi. Włosy jej dzi-
wnie jakoś zestroszyły się nad czołem, biała
groza wyzierała z obrzękłej twarzy i wy-
sadzonych na wierzch, szklących się już oczu.
Głowę leżała na samym niemal progu, do
którego wyciągała się również rozczapierzo-
nemi palcami jej druga ręka.

Rwała się za próg od śmierci, czy może
on ją sam wyciągnął?

I dlaczego?... a potem ta rozpacz!... Dla-
czego?

* * *

Leon wyjechał nie żegnając się ze mną,
a raczej pożegnawszy mnie jednym wyrazem
— podły!

Jestem oszołomiony, obojętny na wszystko. Ta noc i potem ta zbrodnia!...

Jedno tylko uczucie nie zamarło we mnie,
a przeciwnie, z chwilą jego wyjazdu wzrosło
i jeszcze ciągle wzrasta, uczucie nieokreślonej
trwogi i ogarniającego serce zimna.

W stosunku do mnie był on jakby motorem,
popychającym mnie na stromą górę. Obecnie
motoru nie stało, i...!

Do najbliższej stacyi trzy mile. Gdyby więc
wyjść około północy z domu!...

CZĘŚĆ II.

100

A jednak... a może...
Ciekaw jestem, czy i całownik...
A jednak... a może...
Ciekaw jestem, czy i całownik...

Od trzech dni jestem żonaty, a od dwóch w Warszawie.

Wyjechałem natychmiast po ślubie, pod pozorem, że nie mogę narażać młodej żony na niewygody nieurządzonego mieszkania.

Pozór dość słaby, ale... zgodziły się. Mają przyjechać za tydzień.

Bo i mama też sprowadza się do nas. Korbiel zaczyna podobno krewić, oby mu pan Bóg tego nie pamiętał!

Za tydzień! Więc jeszcze cztery dni. A potem?...

O nadziejo, ty biały kwiecie, wyrastający nawet na dnie najczarniejszej rozpacz! jedyna jedyna na świecie jesteś stwierdzeniem samoródtwa.

Bo i ja mam nadzieję. Małą, malutką, właściwie tylko ledwie dostrzegalny cień nadziei, ale mam.

— Może! — Skąd się ono bierze we mnie i na jakiej podstawie? Niema takich podstaw!

A jednak — a może też coś, jakieś wyjście,
a może!...

Ciekaw jestem, czy i człowiek lecący już
głową na dół w przepaść ma jeszcze rów-
nież swoją nadzieję, i jaką mianowicie?

16 września.

Już tylko dwa dni!...

Ów cień nadziei w miarę zbliżania się tej
chwili zaczyna być istotnym cieniem. Roz-
pływa się bez śladu.

Co począć? Czy nie zawiadomić, że urzą-
dzenie mieszkania potrwa nieco dłużej?

18!

Od rana, a właściwie od wczoraj wieczór — bom nie próbował nawet położyć się do łóżka — chodzę po domu z wytrwałością wahadła, upodabniając mu się i w tem także, że jak ono jedynie na swoje — tik-tak — zdobyć się może, tak i ja na jedną tylko myśl — dziś!...

Więc to już dziś?...

Służący przyniósł depeszę.

Chwyciłem ją z takim pośpiechem, jak gdyby to było powietrze, którego mi właśnie w płucach brakło. — Może spóźnienie? — Tak, spóźnienie, ale tylko na kilka godzin. Przyjeżdżają wieczornym pociągiem o dziesiątej.

O dziesiątej, teraz druga, — zatem zaledwie ośm godzin!...

* * *

O dziesiątej to już właściwie nie wieczorny, lecz nocny pociąg. Tak, naturalnie! dziesiąta to już noc. Będzie zmęczona podróżą, napewno będzie zmęczona, — tyle drogi!

A więc... może jeszcze nie dziś!...

* * *

A jeżeli dziś?

Już tylko godzina.

O pół do dziesiątej wychodzi pociąg do Lublina, jeszczebym zdążył. — Wezwany telegraficznie, śmiertelna choroba ciotki? — Nie!

Czuję pod czaszką bryłę lodu zamiast mózgu.

20 września.

Stało się.

Przez cały czas kolacyi byłem niezwykle ożywiony, mówiłem bez wytchnienia, śmiałem się.

Za to Janina była jakoś dziwnie zamyślona, nie odzywała się prawie, czasem tylko uśmiechnęła się do mnie jakimś nerwowym, naprężonym uśmiechem, lecz czuć było, że nawet wówczas, gdy jej niezwykle rozszerzone źrenice zatrzymywały się chwilowo na mnie, widziała jedynie to tylko, ten obraz, czy myśl, która tkwiła w niej samej.

I teraz dopiero rozumiem, co było przyczyną mego ożywienia. To jej zamyślenie niepokoiło mnie, chciałem przewlec czas...

Mama zaczynała już dyskretnie poziewać, lecz starałem się nie widzieć tego.

Wreszcie rzekła bez ogródek.

— Dobrze to wszystko, wesoło nam, ale

która to godzina? Ja bo, przyznam ci się, jestem nieco znużona.

Zerwałem się nagle z nadzwyczajnym pośpiechem.

— Tak, naturalnie, jakże ja mogłem nie pamiętać o tem! Musicie być strasznie, tak jest, strasznie zmęczone. Teraz tylko wypoczynek, zupełny i jak najdłuższy wypoczynek!

Zacząłem się krzątać z nadzwyczajną gorliwością, biegałem, wydawałem tysiące sprzeczných poleceń oszołomionej służącej, wreszcie mama została ulokowaną w swoim pokoju.

Zostaliśmy sami.

Spojrzałem na Janinę z niespodziewanym przyływem jakiegoś rozpaczliwego zuchwałstwa.

Podeszła wprost do mnie z jakimś niesłychanie miękkim a zupełnym poddaniem się, zwiśla mi na ramieniu przytulonem ciałem.

Serce we mnie omdlało.

— Czy — zaczęła, podstawiając czoło do

pocałunku — bardzo jesteś szczęśliwy, bardzo pragnąłeś, żebyśmy już byli razem?...

Głos jej toczył się tak cicho, jak perły po kobiercu, lecz mimo to czuć w nim było dalekie, wewnętrzne drżenie.

Za to ja odpowiedziałem głośno, nienaturalnie głośno.

— Droga, ty pytasz jeszcze? Tak jestem szczęśliwy, tak!... I gdyby nie twoje zmęczenie!...

Wątek myśli przeciął się nagle, byłem w stanie powtórzyć zaledwie kilka razy w kółko.

— Tak bardzo szczęśliwy, tak!...

Jednocześnie zupełnie nieświadomie pociągnąłem ją w stronę sypialni. Jak lunatyk dałem się powodować odruchom, odruchowo chciałem zrobić wszystko, co według kierującego mną jakby skądś z poza mnie pojęcia, zrobić w podobnych razach było potrzeba. I puściwszy ją przodem, sam zatrzymałem się przed progiem.

Czy i to należało zrobić?

Stałem tak bez ruchu, dotykając ręką

czoła, jakbym chciał obudzić w bezradnej głowie jakąś zbawczą myśl, jakby w oczekiwaniu czegoś, co mogło spaść skądś zzewnątrz, niezależnie odemnie.

Może zaśnie?...
 ...

Sam zzymnąłem się na tę bezsensowną nadzieję i zajrzałem do środka.

Siedziała nieruchoma na szezłagu, z rękami splecionymi na kolanach, wpatrzona rozszerzonymi źrenicami w różowe światło lampy.

Usłyszawszy szelest moich kroków, drgnęła, po twarzy jej przeleciał płomień. Uśmiechnęła się znów tym dziwnym nerwowym uśmiechem, przebiegającym po zaciśniętych ustach lekkim, podobnym do spazmu drżeniem, wyciągnęła rękę.

Usiadłem obok.

Robiłem nad sobą rozpaczliwe wysiłki.

— Czy — szepnąłem — czy... Podobna ci się urządzenie naszego mieszkania?

— Tak — odrzekła cicho — bardzo mi się podoba.

Naraz pochwyciła moją rękę w obie swoje

rozpalone dłonie, przytuliła głowę do moich piersi.

Zamilkliśmy oboje.

Przez pewien czas słyszałem tylko głuche bicie jej serca i swego.

W pewnej chwili zacząłem doznawać dziwnego niepokoju, płynącego ku mnie jakby skądś zdaleka, zzewnątrz... Jakiś strasznie cichy, strasznie żałosny, ciągnący się bez końca śpiew czy płacz... i taki cienki, ostry a cienki, wdrażający się we wszystkie nerwy... Zrobiłem nadludzki wysiłek. To tylko mucha, która trafiła w buchający żarem cylinder lampy, bzykała teraz, usiłując jeszcze wydostać się ze śmiertelnej łaźni.

Wstrząsnąłem się dreszczem.

I naraz zawrzał we mnie bunt dzikiej rozpaczy. Przygarnąłem ją do siebie objęciem, podniosłem jej głowę. Błada była jakąś nierówną, pełną krwawych plam bladeścią, ociężałe powieki przysłaniały do połowy wilgotne źrenice, rozchylone usta poruszały się ledwie dostrzegalnym ruchem, jak w sennem majaczeniu.

Przez głowę przemknęło mi błyskawicą dalekie przypomnienie.

— To ona, tamta!...

Wpiłem się w te usta z całym zapamiętaniem szalu, wyczuwałem z rozkoszą ich wilgne, gorące drżenie, piłem jej gorący oddech.

Ręce jej osunęły się bezwładnie wzdłuż ciała, westchnienie rozdęło piersi. Całą swą istotą rozchylała się jak kwiat tulipan na przyjęcie czegoś, co musiało, musiało teraz nastąpić, szła pragnieniem naprzeciw tego... i przez szparę przymkniętych powiek sączył się z jej źrenicy wąski promień umęczenia czy prośby...

Serce przepełnione krwią wyprężyło mi się w piersiach bolesnym omartwieniem, przed oczami zawirowały żółte i czerwone pasma, jakiś daleki wiatr, szum!...

Co to!...

Lampa prysnęła, dopalał się na knocie trup nieszczęsnej muchy.

Dziki strach, cały huragan strachu uderzył we mnie lodowatymi skrzydłami.

Ta linia, ona tuż!... I nogi wrastają w ziemię!

Uciekać?!

I naraz stało się ze mną to, co niekiedy, ale tylko niekiedy staje się ze zbyt pochyłym przez burzę drzewem. Wydarłem się burzy i powróciłem do równowagi.

Prawie spokojnie położyłem rękę na głowie Janiny.

— Czas ci już spocząć, dziecino moja, niedobry jestem, żem o tem nie pamiętał.

Wszak ona nie wie i odemnie zależy utrzymać ją w tej nieświadomości, dokąd tylko zechcę!

* * *

Jak dobrze, że mi ta myśl przyszła. Teraz na pewien czas mam prawo bytu między żywymi. Inaczej!...

Zresztą co prawda, po części nawet rad jestem z siebie. Kto wie, czy to właśnie, co mi rozciągało żyły dreszczem trwogi, nie dowodzi wyższości mojej organizacyi nad innymi.

Pewna stara panna usiłowała niegdyś przekonać mnie, że ludzkość w postępowym rozwoju z czasem stanowczo dojdzie do tego, że człowiek będzie miał tylko uskrzydloną głowę. Naturalnie, że szczytem miłosnej pieśczoży byłby wówczas pocałunek.

Pamiętam, że wtedy wydało mi się to histerycznym bredzeniem, jednak teraz, po dojrzałym zastanowieniu — kto wie?...

Istotnie trudno zaprzeczyć, że wraz z ogólnym postępem strona fizyczna ludzkości ciągle traci na rzecz strony umysłowej, to z jednej strony, z drugiej znów, trudno zaprzeczyć, że ostateczne konsekwencye miłości są brutalne i wstrętne.

Ideałem człowieka, ale człowieka jako antytezy zwierzęcia, powinno też być stawać się jak najmniej do zwierzęcia podobnym. A miłość fizyczna, zmysłowa najbardziej właśnie zezwierzęca.

* * *

Janina ciągle pełną jest jakiegoś naprę-

żonego oczekiwania. Oczy jej od tej chwili ani razu nie spoczęły wprost na mnie. Zawsze ogarniają tylko jakąś przestrzeń, w której i ja się znajduję.

Lecz nawet wtedy, gdy wcale na mnie nie patrzy, ani ja na nią, odczuwam to oczekiwanie, promieniejące z niej jak ciepło.

To mnie męczy.

Szkoda, że nie mogę jeszcze zdobyć się na odwagę, żeby jej wyłuszczyć swoje zapamiętanie na miłość wogóle, a na jej fizyczną stronę w szczególności.

* * *

Mama opowiadała o jakiejś swojej znajomej, która świeżo owdowiała, po paru zaledwie latach pożycia z mężem.

— I żeby jej choć dziecię pozostało na osłodę życia, a tu nic! O, bo dzieci w takim razie, to jedyne skuteczne lekarstwo przeciw rozpaczcy. Szczególniej, gdy jeszcze małe, gdy każdy ich krok, każde poruszenie wymagają skupienia całej uwagi. A jak to się potem

umie wywdziżyć za tę troskliwość, jak cieszy serce matki tkliwą pieśczęcią, tym słodkim a nieustannym szczebiotem!... Ogromnie lubię to drogie maleństwo i marzeniem mojem, gdy się już zestarzęję (— tu westchnęła zlekka —) mieć dużo, dużo wnucząt, którym mogłabym poświęcić resztki życia...

Spojrzałem przelotnie na Janinę. Oczy miała wbite w ziemię, na twarzy wyraz dziwnego zamyślenia.

I dlaczego? Czy wszystko, co może oderwać człowieka od ziemi, wyzwolić go z okowów zwierzęcości, ma jeszcze tak mało przystępu do dusz ludzkich? Czy nad to szczęście nie masz większego szczęścia na ziemi?

W sercu mem względem mamy zaczyna się gromadzić głucha niechęć.

* * *

Nie mogę sypiać po nocach, ale dzisiaj zrobiłem odkrycie, że nietylko ja nie sypiam.

Mimowoli zapewne wydarło się z moich piersi westchnienie, podobne prawie do jęku,

i wydało mi się naraz, że nad jej łóżkiem rozległo się jakby wierne echo. Wstrzymałem oddech w piersiach — tak, nie omyliłem się! Po chwili znów rozległo się westchnienie, niepodobne do westchnienia człowieka śpiącego.

Ostrożnie naciągnąłem kołdrę na głowę, starałem się stłumić nawet bicie własnego serca.

Trawi mię gorączka.

1 października.

Od paru dni stała się niezwykle wesołą. Ale źródło tej wesołości nie jest naturalne. Czuję to wyraźnie, jak również i to, że ten stan oczekiwania bynajmniej nie minął u niej, ani się nie zmniejszył.

Chwilami też wśród najwyższego pozor- nie ożywienia nagle zamyśla się, i wówczas wygląda tak, jakby całą jej istotę trawiło uczucie nieokreślonego smutku czy żalu.

Zdobywam się na tysiące wybiegów, byle jak najmniej pozostawać z nią sam na sam, lub też obmyślam wycieczki jak najdłuższe i najbardziej męczące, przytem w miejsca jak najliczniej uczęszczane. W wielkim tłumie czuję się z nią swobodniejszym.

Dzisiaj wszyscy troje byliśmy w Wilanowie.

Powracając już, zetknęliśmy się naraz z Leonem w towarzystwie jakiejś panny czy pani.

Uklonił się zdaleka, przeszedł.

Nie mogłem sobie odmówić, żeby się za nim nie obejrzeć. Jednocześnie i on się obejrzał. Zaledwie zdołałem pochwycić jego spojrzenie, bo zaraz odwrócił głowę, lecz tego, com zdołał wyczytać z tego spojrzenia, wystarczyło, aby na chwilę napełnić mię zupełną radością. — Nie zapomniał jeszcze! Z wyrazu tęsknoty i żalu, którym było przesiąknięte to spojrzenie, odczułem, że nie zapomniał.

I on się męczy!

Nagle prawie mimowoli spojrzałem z uwagą na Janinę.

— Leon! — rzekłem z naciskiem — widziałaś?

— A, tak! Już go nie pierwszy raz spotykam dzisiaj.

Mówiła zupełnie spokojnie. Nie, pod tym względem mogę i ja być spokojny.

Mama z widoczną niechęcią skinęła głową za oddalającą się parą.

— Letkiewicz! Ten napewno nie będzie nigdy zastanawiał się nad tem, czy potrafi zapewnić szczęście swej przyszłej żonie. A zre-

szta, czy on jeden? Wogóle mężczyźni na tym punkcie są karygodnie lekkomyślni, i mojem zdaniem, każdy taki, który się żeni, a nie zastanowi się przedtem, że to przecie nie tylko o niego chodzi, nie obliczy się dobrze z siłami, powinien być prawnie karany.

Doznałem naraz uczucia palącego upokorzenia. Wszystko to wypowiedziała jakimś niezwykle surowym tonem, a wydało mi się, że na ten wyraz — z siłami — położyła jakiś specjalnie druzgocący nacisk, i to wyraźnie pod moim adresem.

Jednocześnie poczułem na sobie spojrzenie Janiny. Oczy moje niezależnie od woli z wyrazem psiej pokory podniosły się na nią jak zahypnotyzowane — po raz pierwszy patrzała prosto na mnie i z oczu jej wyzierał straszny żal, głębokie współczucie, zdawała się całą duszą lecieć ku mnie na promieniach swych źrenic, aby mię przebłagać za coś, ukoić ranę...

Czy zaczyna się domyślać?

* * *

Niema wątpliwości...

Mama znów spoglądała na mnie w sposób niezwykle i ogromnie mnie niepokojący. Wiłem się wewnętrznie pod tem spojrzeniem.

Co będzie dalej?!...

Czuję w mózgu nieznośne palenie. Zdaje mi się, że żarzy się tam węgiel, który ogarnia swym żarem coraz większą przestrzeń.

5 października.

Już wie.

I ja żyję jeszcze.

* * *

Wszemocny jest Bóg... i sprawiedliwy!
Nie co dnia na morzu burze bywają i nie każdego spotykają.

Lecz spróbowałem na morze puścić się ja, raz tylko i na jeden dzień, i sprawiedliwy Bóg rozkołysał do dna fale, które łódź moją dźwigały.

Pamiętam...

...Czarna nieprzejrzana noc i wśród niej gromowe ryki straszliwych fantastycznych potworów, uderzających na siebie z siłą dwóch spiętrzonych oceanów, kłębiących się w konwulsyjnych rzutach pod stopami, wyrzucających się w zacieklej walce pod obłoki. Cała

przeźren między ziemią a niebem wypełniona była jednym żywiołem, na którego istotę składały się: ślepy mrok nocy, huk walących się w bezdenną czelusć morza wszechświatów, straszliwa moc rozpiętanych w szale zniszczenia mas wodnych...

Jednego majtka zerwało z pokładu...

Co musiał czuć ten człowiek, zanim dzika rozpacz zamroczyła myśl jego obłąkaniem!...

Takich samych uczuć doznają ja obecnie.

Lecz tamten cierpiał przez jedną tylko chwilę, śmierć rychło załatwiła jego rachunki z życiem. A ja cierpię bez ustanku, w każdym najkrótszym momencie czasu obłąkanie chwyta mię w swe szpony i jednocześnie zimna świadomość całej grozy położenia rozwidnia mój umysł przerażającą jasnością błyskawicy. I zbawcza śmierć nie spieszy mi na ratunek. Zresztą ja nie chcę umierać. Śmierć to jeszcze nowa męka. Może przyniosłaby ukojenie, ale ja miałbym prawo zapatrywać się na nią jak na nową wyrządzoną mi krzywdę, bo ja żyć chcę.

Chcę żyć choćby po to, aby być wiecznym krzykiem przeciw tej ślepej sile, która wlała we mnie morze palących pragnień, a odebrała możność zaspokojenia ich. Chcę żyć, by się przekonać, jak daleko może sięgać bezrozumne okrucieństwo tej władnej mocy, którą jedni zwą fatum, inni... Bogiem!

O Boże! Ty Boże miłości i przebaczenia, dlaczego mnie, mnie dotknęła Twa mściwa prawica.

Dlaczego gniew Twój nie spadł ponurym sępem, choćby tam raczej, na martwiejące niziny Indyj, z których palący żar słońca — Twego oddechu nie wysłał jeszcze wszystkich soków ożywczych... na których nie skoła jeszcze głodowa pieśń dzieciątek, nie znajdujących już nawet kropli krwi w wyschniętych matczynych piersiach... po których ślaniają się jeszcze upiorne widma żywych, przez Ciebie na powolną śmierć skazanych, i żebrzą Twego miłosierdzia! Wszak tam jeszcze tyle, tyle do działania!...

Miłości i przebaczenia!...

Pamiętam...

...Wykład dermatologii. Profesor »demonstruje« trędowatych. Dwoje ich było, starzec i dziewczyna. Nie byłem w stanie wytrwać do końca, uciekłem jak szalony, ujrawszy tylko twarz tej dziewczyny, rozpowiniętą z grubych szmat, przesyconych jadem cuchnącej posoki.

Ach, ta twarz!...

Kawał poszarpanego jak szponami sępów ścierwa, i pośród niego metalicznie lśniący punkt — jedyne jej oko. Zamiast drugiego — krwawa, ciekąca jama.

Do dziś tkwi mi w mózgu wyraz tego lśniącego punktu — oka, z powiekami zżartymi przez straszną chorobę, z migocącą jak sztylet pośród obnażonego białka źrenicą.

Ile piekielnej męki buchało z tej płomiennej, oszalałej źrenicy, ile dzikiej nienawiści względem tych wszystkich, dla których z całej jej istoty ludzkiej pozostało to tylko godnem uwagi, co w niej było katuszą.

I za co ona cierpiała, gdzie ten Bóg, który ją trądem obsypał!!

Ja również jestem trędowaty, również wyklęty między żyjącymi.

I również nienawidzę.

O męko moja, leć płomiennym wichrem na skrzydłach mej nienawiści, i zarażaj swem tchnieniem.

Niech ujrzę dokoła siebie twarze oszalałe cierpieniem.

Niech wraz ze mną i cały wszechświat w popiół się przepala.

* * *

...Głodowa pieśń małych dzieciątek chodzi jękiem po martwiejących nizinach... tych nizinach, które na rodnem swem łonie ludzkość wykołosały...

...Między zwałiskami zamarłych grodów słaniają się upiorne widma żywych i żebrzą miłosierdzia, o rychły zgon żebrzą...

...A żarne słońce, jak zagniewana źrenica Boga jarzy się na stalowym niebie i przepala rozpaczłą beznadzieją serca struchlałe...

To jest ból wszechświata...

W porównaniu z tym bólem cóż znaczy
moje własne cierpienie!

A co znaczy cierpienie wszechświata w po-
równaniu z bólem moim, mnie tylko bolącym!

* * *

Zdaje mi się, że zamiast zwojów mózgo-
wych noszę w głowie płynną, rozpaloną la-
winę, wirującą pod czaszką z szybkością
i głuchem warczeniem młyńskich kamieni.

Ten wir czuję nieustannie. Bryzgi rozpe-
dzonej lawiny oslepiają mój wzrok deszczem
ognistych skier, w głąb tworzącego się po-
środku leja wgniata się od szczytu głowy
ostry, kłujący ciężar...

...Ojciec skończył w domu obłąkanych...

To dobrze.

Już czuję, jak się coś skrada ku mnie,
wbija mi w duszę nieruchome, przerażone
źrenice, wyciąga długie, suche jak szpony
palce...

To dobrze!

Ty gadzie, pełzający dokoła mej duszy,
zbliżaj się śmiało!

Ja idę sam naprzeciw, pragnę ciebie, wy-
ciągam do ciebie ręce, boś ty jest mojem bóst-
wem, ty dajesz mi moc i pragnienie wy-
czerpania aż do dna miary, jedynie mi do-
zwolonej rozkoszy.

Zbliż się i zapanuj nademną!

Gdy jesteś przy mnie, gdy poczuję już
w mózgu przerabianie twych kościstych pal-
ców, wówczas jedynie zrywa się tama, wię-
ziąca rozhukane morze mych pragnień.

I wówczas jedynie staję się jak płomień,
zdolny góry lodowe zamienić w roztopione
słońce.

Przychodź mi zawsze z pomocą, gdy
ona jest ze mną, gdy w męce beznadziej-
nego zapamiętania pada mi w objęcia, gdy
spieczone me wargi ślizgają się po marmu-
rowo gładkim chłodzie jej ciała, tym chłodzie,
który pod dotknięciem mych ust staje się
naraz palącym żarem.

Niech nasze dusze stapiają się w płomie-
niach tego żaru, niech świst naszych odde-

chów stanie się jednym ogromnym krzykiem, wydrze się ze strawionych gorączką ciał i leci w przestrzeń, by spiżowym dzwonem pomsty przerażać wiecznie pogrążone w ślepem zadufaniu dusze...

* * *

Co jest dziś i co jest jutro!

Pojęcie czasu jako pewnej ciągłości znikło w mej świadomości.

Dla mnie czas jest obecnie czemś materialnym, dotykalnym. Każda jego minuta i każda godzina, wszystkie dnie i wszystkie noce to tylko zmieszane z sobą atomy ciemnego, ponurego morza, przez które brnę z coraz większym wysiłkiem, które zalewa mnie i tłoczy swym ciężarem. I już mi sił nie staje.

* * *

I ona wygląda z każdym dniem gorzej. Błada, oczy świecą jak próchno.

Spala się jak świeca.

To dobrze.

Razem odejdziemy...

* * *

Zrobiłem mamie straszną awanturę. Cała moja męka, cała nienawiść, która nagromadziła się we mnie przeciw wszystkiemu i wszystkim, zerwała tamy i obryzgała ją potokiem.

Wyjechała z płaczem.

I to dobrze. Pozostaniemy sami tylko, sami z sobą i z tą trawiącą nas gorączką szale.

Janina miała łzy w oczach, może chciała zrobić wymówki. I w zamian tego rzuciła mi się z jakimś bolesnym zapamiętaniem w ramiona. Już nie ma władzy nad swymi nerwami, jak i ja!

O ty, przybywaj! Niech te stargane nerwy raz jeszcze wyprężą się jak żmije pragnieniem, niech rozszalała krew rozsadza żyły...

Już słyszę w przestrzeniach odgłos gromkiego krzyku wyzwolenia.

* * *

Spotkałem Leona.

Przeszliśmy obok siebie, jakby się nigdy nie znając, lecz naraz błysnęła mi pewna myśl...

Zawróciłem śpiesznie, biegłem za nim prawie, nie zważając na zgorszone miny potrącanych przechodniów.

— Leonie, zatrzymaj się!

Obejrzał się zdumiony.

I naraz zgubiłem ową myśl, która mi każała pędzić za nim. Przez chwilę spoglądałem na niego prawie z równym zdumieniem, jak i on na mnie. — Czego ja mogłem chcieć od niego? Aha, tak!... — Fala skrytej radości chlusnęła mi dreszczem pod serce.

Byłe tylko głos nie zawiódł!

— Leonie! — zacząłem, chwytając chwie uchem tembrowego głosu. Tak, doskonale! głos mój drżał zupełnie należycie...

— Leonie! dlaczego my tak przechodzimy obok siebie? Czy pamiętasz, jak było dawniej — te wspólne lata dzieciństwa, ten nierozzerwalny związek dusz w wieku młodości — dlaczegoż więc teraz tak? Ja pojmuję bardzo, że wówczas, w pierwszej chwili mogłeś się czuć na mnie rozżalonym, mogło ci się wydawać, że cię okradł ze szczęścia, które ci się słusznie należało, lecz pomyśl tylko, czy tak było istotnie? Wszak to ona sama decydowała! A czy jako człowiek szlachetny możesz ją czynić odpowiedzialną za to, że głos serca nakazywał jej tak a nie inaczej postąpić? czy wreszcie możesz mnie winić, że na równi z tobą uległem jej urokowi? Leonie, wierz mi, jaby ci nie zazdrościł szczęścia, choćbyś miał dojść do niego po trupie mego serca. Bądź więc i ty dobrym dla mnie. Wierz mi, że całe to moje obecne szczęście wydaje mi się mniejszem, mniej promiennem dlatego właśnie, że mi je zatruwa myśl o tobie, o twoim żalu do mnie. Nie psuj-że mi tego, co ślepy los dał mi może na krótką tylko chwilę. Oto ja pierwszy wy-

ciągam do ciebie rękę — zapomnij, niech będzie między nami tak, jak dawniej bywało!

Stałem w oczekiwaniu. Przez chwilę wahał się, jakby walcząc z sobą. Wreszcie nie mówiąc ani słowa, uściśnął mocno moją dłoń i odwróciwszy nieco głowę, zamrugał szybko powiekami.

Rzuciłem mu się z wylaniem na szyję.

— Drogi mój, mój przyjacielu jedyny, spodziewałem się tego po tobie. Jakże jestem szczęśliwy, zdaje mi się, że góra spadła mi z serca. Teraz tylko do Janiny, — chodź ze mną, chodź mój drogi — niech i ona ucieszy się tym widokiem, bo dla niej było to również cieniem, zasnuwającym jej szczęście. Ona taka anielsko dobra, tak boleje na samą myśl, że może komuś sprawić udręczenie... Chodź!

Na ruchomej jego twarzy znów odbił się wyraz ciężkiego pasowania się z sobą.

— Nie — rzekł wreszcie — dzisiaj nie mogę. Może kiedyś, niedługo, ale dzisiaj nie mogę, nie mam czasu...

— Będziemy więc czekać, pamiętaj, z wielkiem, wielkiem upragnieniem!

— Napewno!

Rozstaliśmy się tak, jak może jeszcze niegdyś, niegdyś!...

Serce skacze we mnie jak kulawy niedobitek — zóraw, którego ogrzało słońce majowe. Kocha ją jeszcze niezawodnie, musi ją kochać. I teraz względem niej, jako już względem żony innego, będzie tem samem, czem i ja jestem!

* * *

Ciągle myślę o tej chwili, kiedy już przyjdzie...

Janiny nie uprzedziłem, chcę jej sprawić niespodziankę. A takbym pragnął wiedzieć, jak się w tej chwili będzie czuła!

Podobno bardzo silne napięcie myśli w pewnym kierunku przez wzrok udziela się temu, na kogo patrzymy. Patrząc na nią z takim naprężeniem, że niemal chwytam odbłyśki ślizgających się pod czaszką myśli — jej my-

śli — lecz odblasku tego, o czym ja sam myśle, nie spostrzegam.

Zresztą jest tak nerwowo przedrażniona, że każde spojrzenie działa na nią jakoś zewnętrznie, jak dotknięcie rozpalonem żelazem. Drży tylko i płomienieje.

* * *

Był...

Nie zawcześnie i nie zapóźno. W pięć dni po spotkaniu!

Zaproponowałem mu, żeby codziennie przychodził na obiady. Zawahał się, lecz gdy i Janina poparła moją prośbę, ustąpił.

Będzie ją więc widywał codzien, codzien będzie pił oczami truciznę.

* * *

Tak, kocha ją niezawodnie!

Dzisiaj pozwoliłem sobie na mały eksperyment. W jego obecności uścisnąłem Janinę i pocałowałem ją namiętnie.

Zbladł jak trup i niedługo potem wyszedł.

Zdawało mi się, że krok jego był niezwykle chwiejny.

* * *

Staram się o ile możności ułatwić im pozostawanie sam na sam. Niech się oswaja z nowem jej położeniem, niech w sercu jego odżyje wszystko, co czuł dla niej.

Sam ukrywam się gdzieś w sąsiednim pokoju, słucham i drzę. Czasami wychodzę nawet z domu. Wprawdzie nigdzie daleko odejść nie mogę, coś mię tu przytrzymuje, krążę przez cały czas w pobliżu, lecz w każdym razie staram się, aby to trwało jak najdłużej, aby koniecznie, koniecznie zostało przez niego spostrzeżonem. Niech poczucie mojej obecności nie krępuje swobodnego rozsnuwania się jego myśli wokół jej osoby.

* * *

Szkoda, że nie może zamieszkać razem z nami, oddychać tem samym powietrzem, w którem rozsiewa się i jej tchnienie, wi-

dzieć ciągle przed sobą jej postać!... Albo przynajmniej gdzieś przez cienką ścianę, przez drzwi, żeby w chwilach tęsknoty dolatywał do jego uszu odgłos jej kroków, miękki szelst jej sukni...

* * *

Jestem chory.

Po krótkotrwałych wybuchach szału zapadam na długie godziny w odrętwienie, podczas którego zupełnie tracę świadomość tego, co się ze mną dzieje. Tylko jakiś szum w uszach, jak wspomnienie przebytej burzy, ostry ból w mózgu i ciemność... miękkie opadanie w nic...

Lekarz zaleca mi mocne morskie kąpiele. Idyota!

I ona też chora.

Siła jej pragnień przechodzi w jakiś straszliwy huragan, który chwilami nawet mnie samego przeraża, mnie — com w niej ten płomień rozniecił.

* * *

Grają — śpiewają, śpiewają — grają...

Dzisiaj wszedłem niespodzianie do salonu, to jest o tyle niespodzianie, że moja nieobecność trwała bardzo krótko.

Na twarzy jego rdzawił się gorączkowy rumieniec...

Trucizna zaczyna działać.

* * *

Dlaczego właściwie nie miałyby zamieszkać razem z nami?

Zrobiłem wobec Janiny uwagę, że jak na nas dwoje, mamy nieco za wielkie mieszkanie.

— Poszukajmy mniejszego — odrzekła obojętnie.

— Nie, to kłopot, i zresztą tutaj bardzo dobry punkt. Ale żeby komu odstąpić część, np. Leonowi!

— Leonowi?!

Spojrzała na mnie z widocznym zaniepokojeniem.

— Tak! Czy masz co przeciw niemu?

— Nie, nie, ale...

— Sądzisz może, że blizkie jego sąsiedztwo będzie nas... krępować?

Po twarzy jej przeleciał płomień, mimo-woli podała się ku mnie ciałem.

— Tego nie wiem, ale... Zostańmy lepiej tak jak przedtem — dobrze?

.....

Dlaczego nie chciała się zgodzić? Uważała, że to nie wypada ze względu na jego dawniejsze zamiary, czy może... obawia się?!

* * *

Każdy mój nerw zdaje się być zaopatrzony okiem, każda pora ciała zamienia się w ucho. Podchwytuję każde spojrzenie, niemal myśli same, każdy najlżejszy odcień głosu rozkłada się jeszcze we mnie na całą gamę silnie akcentowanych tonów — nic!

A jednak to wyglądało na obawę.

* * *

Nie był przez kilka dni. Wiedziałem, że wyjechał, lecz nie napomknąłem jej o tem ani półsłówkiem.

Nie zapytała sama!

Dlaczego nie zapytała, kiedy to pytanie powinno jej się było nasunąć, kiedy — co

więcej — ja je czułem w niej, ono leżało w jej mózgu?...

W kącie stała zapomniana przez niego laska.

Umyślnie spojrzałem kilka razy z uporem w ten kąt, pragnąc zwrócić na to i jej uwagę, dać jej wyraźnie do poznania, że oto właśnie i ja myślę o nim. Idąc mimowoli za moim wzrokiem spojrzała istotnie, i musiała zauważyć, na co spoglądam, lecz nie odezwała się.

— Laska... L e o n a! — rzekłem z przy-ciskiem.

Spojrzała raz jeszcze.

— Aha!

Zatrzymała wzrok na lasce dłużej niż potrzeba było na jej obejrzenie jakby po to, aby uniknąć konieczności spojrzenia na mnie, lecz nie rzekła nic więcej.

Chrząknąłem parę razy, pragnąłem był wdrzeć się do jej mózgu, by pchnąć na usta to pytanie, które nie chciało wyjść samo — nic!

Zaczynałem tracić panowanie nad sobą.

— To już czwarty dzień, jak go niema! — odezwałem się znów.

— A tak, zdaje się.

— Zdaje ci się tylko? Więc fakt jego niezjawiania się przez tyle dni przeszedł dla ciebie ot tak — prawie nie zwracając twojej uwagi?

Spojrzała na mnie szybko i z załęknieniem.

— To jest tak, czwarty, napewno czwarty!

Czułem, że coś zaczyna się we mnie podnosić, pcha mnie niezależnie od mojej woli.

W tej chwili weszła służąca sprzątać ze stołu. Bawiła się jakby rozmyślnie długo, żeby mnie przywieźć do ostatniej wściekłości. Zbierała po jednym talerzu, kiedy mogła brać odrazu po dwa, osobno wstawiała do kredensu serwis, zapomniawszy o solniczkach, osobno potem wracała po solniczki. Zerwałem się, nie mogąc dłużej wysiedzieć na miejscu. Pragnąłem dla niej w tej chwili śmierci.

Wreszcie wyszła.

Obiegłem jeszcze kilka razy dokoła stołu. Nie wiedziałem, który z ostrych grotów, nagromadzonych w mej piersi, cisnąć najpierw na tę, która siedziała dziwnie pokorna, załęk-niona, jakby przeczuwając burzę, która miała

w nią zaraz uderzyć, i bardziej jeszcze roz-
wściekając mnie tą pokorą.

— To dziwne! — zacząłem wreszcie jakby
po siebie. — Ktoś bywa codziennie, potem
znika naraz, i nic! Jakby listek z drzewa
opadł. I żeby to jeszcze ktoś, ot taki sobie —
raz go widzieli i nie ujrzą więcej — ale on,
on!... Więc on cię nic nie interesuje, co?
Niech się pod ziemię zapadnie, i dla ciebie
to nic, nic — wszak prawda?

Spojrzała na mnie jakimś dziwnie proszą-
cym wzrokiem, który musnął jak skrzydłem
po mem sercu, lecz wywarł wręcz przeciwny
skutek. Podwoił tylko pragnienie umęczenia jej.

— Nic cię nie obchodzi, prawda?

— Owszem — odrzekła bojaźliwie — ale..

— Ale nie na tyle, żeby aż pytać, co się
z nim stało!

Zatrzymałem się przed nią, patrząc jej
prosto w oczy.

— Dlaczegoś nie spytała, skoro to pyta-
nie wciąż ci się cisnęło na usta, dlaczego?

— Tyś mi sam nie mówił, więc...

— Nie mówił, więc! — ha, ha! Więc

nie chciałaś sama tak błahego dla ciebie przed-
miotu poruszać! Bo on sam i wszystko, co
jego dotyczy, to dla ciebie błahostka. I zawsze
była błahostka, i te wszystkie wspomnienia,
te całe dnie i prawie całe noce, spędzane
w miłym sam-na-sam, to także błahostka. To
był tylko niewinny flirt z dawnym nauczy-
cielem, z towarzyszem lat dzieciennych, i nic
więcej!

Spojrzała na mnie wzrokiem krzywdzo-
nego dziecka i, nie rzekłszy ani słowa, ukryła
twarz w dłoniach. Po chwili ramiona zaczęły
jej drgać.

Dusza skręcała się we mnie z bólu, lecz
ten ból podniecał mnie.

— Flirt — śmiałem się z zabijającą iro-
nią — ha, ha, niewinny, dziewiczo naiwny
flircik! Potem nawinął się ktoś inny, więc
wypadało i tego uszczęśliwić częścią swoich
względów. Gdyby się zjawiał ktoś trzeci, za-
pewne i ten nie byłby pominięty, i tak dalej
i tak dalej, póki rachuby drogiej mamusi
nie wskazałyby, kogo specjalnie obrać sobie
za cel!

Teraz łkanie jej rozległo się już głośno, trzęsła się cała, między palcami bryzgały duże białe łzy.

Jak ja ją w tej chwili straszliwie kochałem, tę ofiarę mojej wściekłości! Lecz dlatego właśnie pragnąłem ją umęczyć aż do rozkrwawienia własnego serca.

Chwilami czułem, że już coś zaczyna się we mnie załamywać, i spieszyłem się tembardziej, aby wyrzucić z siebie to wszystko, co mogło ją dobić.

— Miłość!... śmiałem się, wysilając się już teraz, aby zaprawić swój głos jadem ironii. — Czy uczucie to jest ci wogóle znanem? — Może, ale nie względem mnie! Tyś mnie nie kochała nigdy, nigdy, a to, co cię teraz rzuca w me ramiona, tak jest — rzuca w me ramiona czy ty zdajesz sobie sprawę z istoty tego?

Teraz płacz jej przeszedł w spazm. Zerwała się z miejsca i naoślep rzuciła się ku drzewom.

I naraz cała niedawna wściekłość roztopiła się we mnie straszliwym, nieutulonym żalem. Upadłem przed nią na ziemię, tarza-

łem się w szale rozpaczy, wlokłem się za jej stopami...

Przebaczyła.

Czemu przebaczyła? Czy nie lepiej, żeby była rozstała się ze mną nazawsze, cisnąwszy mi na pożegnanie wzgardą w oczy?

A czy ja przeniósłbym to, czy byłbym w stanie wegetować sam, nie czując jej obok siebie?...

* * *

Powrócił.

Czułem, że po jego odejściu Janina chciała mi coś powiedzieć i widocznie obawiała się.

Więc już do tego doszło, że ona, ona potrzebuje obawiać się mnie!

Serce skurczyło mi się z żalu.

— Chciałaś coś mówić ze mną o Leonie? — zapytałem wprost.

— Tak — odrzekła cicho. — Myślałam, że możeby lepiej było, żeby wcale nie przychodził!

Doznałem uczucia strasznego upokorze-

nia, wstydu. Chciała usunąć wszystko, coby mogło dać powód do ponownego brutalnego wybuchu z mej strony.

Skryłem twarz na jej kolanach.

— Moja jedyna, święta moja, nie wspominaj o tem. To był obłęd z mojej strony, straszny obłęd, który nigdy, nigdy się już nie powtórzy. I dlatego niech zostanie wszystko, tak jak jest. Niech on przychodzi sobie i nadal tak jak dotąd, bo gdyby go nie było, nie mógłbym i ja zapomnieć nigdy o tej okropnej chwili, nie miałbym pewności, żeś mi naprawdę przebaczyła. Zresztą może masz jakie inne powody?

— Nie!

— Niech więc zostanie po dawnemu, i nie myśl już nawet o tem nigdy, nigdy — czy dobrze? — jeżeli tylko możesz nie myśleć, jeżeli to jest coś, o czem wogóle można zapomnieć kiedykolwiek.

Nie odrzekła nic i opuściła głowę na moje ramię.

Jedyna moja!...

1 listopada

Listopad już.

Przerdzawione chorobliwą czerwienią liście opadają na ziemię, jak krople krwi z pod serca.

I znów wszystko po dawnemu...

Dzień za dniem, tydzień za tygodniem...

Pocom nastawał, aby go koniecznie za-trzymać! Jego widok nasuwa mi myśl, coby było, gdyby on był na mojem miejscu. I mę-czę się.

* * *

Odrętwienie przychodzi coraz częściej.

Chwilami doznaję uczucia, że myśli w mym mózgu to zeschłe, bezładnie narzucane na jedną stertę patyki — tak bezładnie i tak bezcelowo poruszają się one.

Czy to już!...

* * *

* * *

Ze słonecznego prazródła wciąż sypią iskry życia jak krople majowego deszczu. Kropelkom wszystko jedno, gdzie upadną — na kwietną łąkę czy na granit, w błoto, czy też w duszę błędną, łaknącą wyjść z niebytu. Jedna taka kropla spadła na mnie, i oto jestem!

Po co?!

A Kasia znów nie zamknęła drzwi wchodowych. Zdaje mi się, że czuję chłodny ciąg powietrza przez cztery ściany.

Dlaczego to służące nie dbają nigdy o te drzwi? Może dlatego, że dom, w którym służą, nie jest ich domem, może zatem wyiębnać?!

* * *

Po co ja piszę to wszystko?

Lecz nie pisać nie mogę. Ten papier ma nademną magnetyczną władzę, wyciąga mi myśli z mózgu, jak maszyna inkwizytorska żyły z ciała.

2 listopada.

Telegram, ciotka śmiertelnie chora!

Zdaje mi się, że jużem kiedyś podobny telegram otrzymał, że wyjeżdżałem raz?

I ja jestem chory.

Ale pojedę.

Janina jest zaniepokojona.

— Długo potrwa twoja nieobecność? — zapytała.

— Nie wiem jeszcze, może z tydzień.

— Tydzień!!

Spojrzała na mnie niemal z przerażeniem.

— No tak, to będzie zależeć, może nawet i ze dwa.

Jakby mimowoli podała się ku mnie ciałem.

— Mój drogi — zaczęła prędko — weź i mnie z sobą, nie zostawiaj mnie tutaj. Ja...

Raptem zatrzymała się i spojrzała znów, lecz teraz w jej wzroku odmalował się tylko wyraz obawy, obawy o to, czy nie wzbudziła we mnie jakich podejrzeń.

Lecz już było zapóźno.

Widziałem jej przerażenie i na ten raz nie mogłem mieć wątpliwości co do jego przyczyny. Obawiała się zostać z nim sama!

Cała niedawna burza zawyła mi ponownie w piersiach, lecz przewyciężyłem się. Przewyciężyłem się na tyle, że nawet uśmiech zdołałem wywołać na usta.

— Nie — rzekłem — ciotki nie wskrzesisz, jeżeli ma umrzeć, zresztą nie znasz jej i niepotrzebnie byś się tylko zdenerwowała. A ja przyrzekam, że dla twego spokoju będę pisywał codzień i Leona poproszę, żeby podczas mojej nieobecności przychodził częściej, nie pozwalając ci nudzić się.

Właśnie domawiałem tych wyrazów, gdy wszedł Leon.

— O! — wykrzyknąłem — jak to dobrze, o tobie właśnie rozmawiamy!

— Tak? — i czemuż mam to zawdzięczyć, jeżeli naturalnie rozmowa była tego rodzaju, że można być za nią wdzięcznym?

— Owszem! A zawdzięczasz to temu, że mam do ciebie wielką prośbę. Ja muszę wy-

jechać z domu wezwany do umierającej ciotki — mój drogi, zaopiekuj się przez ten czas Janiną, nie pozwól jej nudzić się zbytnio!

Usłyszawszy, o co mi chodzi, zamrugał zlekka i spuścił oczy.

— Ja zawsze do rozporządzenia — wymówił wolno — i jeżeli tylko pani pozwoli!...

— Ależ naturalnie, bardzo ci będzie wdzięczną i ja także. Bo pomyśl — w razie śmierci ciotki, co jest do przewidzenia, musiałbym zabawić najmniej z tydzień — coby ona tu poczęła przez ten czas sama!

Spojrzałem na nich — oboje byli jakoś zamysłeni, patrzali gdzieś w różne strony, jakby unikając nawzajem swoich wejrzeń i mego.

Czułem w piersiach drżenie, jak dalekie przecucie nadchodzącej burzy.

— Tak, z tydzień — powtórzyłem raz jeszcze — najmniej z tydzień!

Niech ten tydzień utkwi im dobrze w pamięci, niech będą zupełnie spokojni. I wówczas, gdy będą mnie najmniej oczekiwać!...

Ciotka może i bezemnie umrzeć.

8 listopada.

Czuję wciąż snujący się dokoła mnie zapach gromnic, zdaje mi się, że tym zapachem przesiąknęły wszystkie moje nerwy.

Biedna samotnica!

Czekała podobno na mnie do ostatniej chwili, cały lęk samotnej śmierci przeszedł w niej w pragnienie ujrzenia mnie, pragnęła przynajmniej w ostatniej chwili czuć koło siebie duszę niezupełnie obojętną, i nie doczekała się. Skonała na godzinę przed moim przyjazdem.

Biedna, dobra ciotko! czy — jeżeli jesteś jeszcze czemś — zdołasz mi kiedy wybaczyć?

O tak, ty wybaczysz! Lecz twoje przebaczenie nie zetrze tego śladu, który już po swej śmierci zostawiłaś we mnie. Ten wyraz cichego cierpienia, zastygający na twej pożółkłej twarzy, przeszedł mi głęboką brózdą przez duszę, długo pozostaną mi w pamięci te ostatnie twe łzy, zimne i mętne, wytacza-

jące się jeszcze z pod przywartych na wieki powiek.

A mogłem być jeszcze przepędzić przy niej cały dzień, gdyby nie to, nie to!...

Czuję do siebie pogardę, dochodzącą do fizycznego obrzydzenia. Zakradać się pod okno, jak złodziej, jak szpieg!...

* * *

Od owego wieczora nie śmiałem jeszcze ani razu spojrzeć Janinie w oczy.

Widzę ją wciąż przed sobą z twarzą ukrytą w dłoniach, siedzącą bez ruchu na brzegu łóżka, jak wówczas, w tę noc...

Czy mam ukrywać przed sobą, żem doznał pewnego zawodu, ujrzawszy ją samotną i smutną? Tak! może to zresztą był zawód radosny, lecz uderzył we mnie jak policzek. Uciekłem wtedy jak zbrodniarz i jeszcze wciąż staram się schodzić jej z oczu, jakby pragnąc w ten sposób wynagrodzić jej krzywdę — o której nie wie — lecz która dlatego właśnie, że nie wie o niej, jest tem większą.

Czy istotnie jest to możliwe, aby mogła zrodzić się we mnie podobna myśl, że już samo usunięcie z jej oczu mojej osoby mogło być dla niej jakimś zadośćuczynieniem?!

Tak, podobna myśl była we mnie i kierowała mną nieświadomie dla mnie samego.

A ona? — Zdaje się nie zwracać żadnej uwagi na moje intencje. Jest spokojna, znacznie spokojniejsza niż dawniej, a nawet chwilami wesoła.

Ten spokój jej!...

Czyżby siła napięcia jej pragnień leżała tylko we mnie i rozluźniła się z chwilą, gdy ja przestałem podsycać je własnym ogniem?

A chwilami wydaje mi się, że osobowość jej już się nawet jakoś umknęła z pod sfery mego oddziaływania na nią — oddziaływania przez nerwy.

* * *

Zapach trupa i gromnicy nie opuszcza mnie ani na chwilę. Pachną nim moje ręce, włosy, całe ciało, czuję go we własnym oddechu, a nawet w myślach.

Wstręt do tego wszystkiego, co jest mną, przechodzi we mnie w jakąś straszliwą nienawiść.

O gdybym mógł choć na chwilę rozstać się z samym sobą, by tym wstrętem pluć sobie w oczy! gdybym mógł wypruć z siebie każdy nerw z osobna, rozciągać go aż do ryku bóleści, a duszę swoją, tę blade-licą upiorzycę z krwawymi wargami, skrócić w palcach tak, jak rękawiczkę!!...

* * *

25 listopada.

Już wiem, dlaczego Pawluk zamordował żonę. Nie chciał wyjawić przyczyny, wreszcie przyznał się swemu adwokatowi. Obawiał się, że go zdradzi!

Nie miał potemu żadnych poszlak, ale czuł w niej tyle przewagi siły żywotnej, tyle temperamentu, że obawiał się, iż nie potrafi uszczęśliwić jej dostatecznie, że z konieczności musi to kiedyś, musi nastąpić. I zamordował.

28 listopada.

Nie chcę się łudzić. I choćbym chciał — nie mogę.

Ten dreszcz, wstrząsający jej ciałem, był tylko dreszczem wstrętu. Nie miała mocy wyrwać się z moich objęć, jak zamagnetyzowany ptak nie ma mocy porwać się z przed oczu bazyliuszka, lecz — czuję to — umarłaby, gdyby usta moje jej ust były dotknęły.

A ja żyję i może jeszcze długo żyć będę.

Druga w nocy.

Jestem sam...

Sam, bo niema istoty, któraby w tej chwili ogarniała mnie swą myślą.

I zdaje mi się, że jestem zepchnięty w jakiś najodleglejszy, najciemniejszy zakątek wszechświata, tak daleko, że niczyja myśl nie może już mnie dosięgnąć i spocząć na mnie,

— i w takich mrokach, które przestały już drgać wspomnieniem chybkiego promyka, który niegdyś przed wieki przemknął przez ich głębię.

Sam!...

Zimno mi i lęk jakiś niezbadany trąca skrzydłami ściśnięte serce.

Na dworze czarna noc, ani jedno światełko nie przebłyskuje w mrokach. Tylko chłodny wiatr jesienny przebiega zaułkami, jęcząc jak błędna dusza, która drogę do Boga straciła, chwilami opada i szamoce się bezradnie po zgniłej ziemi jak orzeł ze związanymi skrzydłami, i znów zrywa się z groźnym pomrukiem, uderzając w szyby falami deszczu.

Dlaczego te odgłosy nawiewają taką śmiertelną tęsknotę na duszę, jaka jest istotność tego bólu, płynącego łkaniem i skargą na falach powietrza?...

Grube krople deszczu rozplaszczają się białawymi plamami na ciemnym tle szyb i spływają po nich nieustannie, ruchliwą siecią, jak łzy ciekące z jakiejś niewidzialnej

żrenicy. Czyje to łzy? Czy może to jesienny wiatr użala się nad swoim tułactwem?

Zdaje mi się, że podobne wycie jużem kiedyś słyszał, dusza moja jak napięta struna dotąd jeszcze drży jego oddźwiękiem.

Gdzie słyszałem i kiedy?...

Nie mogę myśleć o niczem.

Czuję w głowie jakieś dziwne wyjałowienie, ani jednego jaśniejszego pojęcia, tylko jakieś okruchy świadomości, poruszające się w mózgu z dziwną powolnością i bólem... jak chore, do połowy rozgniecione bezlitością nogą pająki... Pełza biedny pająk drgającymi ruchami, wlecze za sobą nogę złamaną i żłobi nią brózdę na miękkiej korze mózgowej...

Jak pali straszliwie ten brudny ślad chorej pajęczej nogi na moim białym mózgu!

A oto za nim drugi, oto trzeci, całe zastępy pajaków wypełzają z ciemnych kryjówek myśli, przelażą z bólem jedne przez drugie, kłębią się masą prądkowanych ciał, szleszcząc pod czaszką jak zamknięte w papierowym pudełku chrabąszcze, i każdy wlecze za sobą zmiążdżone członki, za każdym —

jak mglisty ogon komety — snuje się gromniczno-trupi zapach...

Zapach gromnicy i trupa!

Wylewa się z pod czaszki i ocieka po mnie lgnącą, smrodliwą cieczą.

Czym i ja już trupem?

...Wiatr wyje i płacze...

Słucham z wyciężeniem wszystkich sił, jak gdyby podmuchy tego wiatru miały mi przynieść jakieś zbawcze słowo, i zdaje mi się, że to wycie rozlega się we mnie samym, jęk bije jak żywe źródło z krwawiącego dna własnej mej duszy, rozplywa się po mnie gorzką falą nieutulonej rozpacz, drży na strunach nerwów...

Tak samo jęczał tamten w ową noc po dokonaniu morderstwa. Jak ten wiatr, tak i on wówczas tarzał się w bólu po wilgotnej ziemi, a rżący jęk sam rwał się z jego piersi. — Obawiał się, że nie potrafi uszczęśliwić jej dostatecznie, że to musi kiedyś, *musi* nastąpić!

I zamordował, zamordował!...

...Wyje wiatr i płacze...

I zdaje mi się, że te bijące w szyby ciężkie lzy — krople są łzami własnych moich oczu, że po własnym mem sercu ściekają ruchliwą, ziębiącą falą...

Janina śpi.

Jak spokojnie, jak słodko śpi ona, jak równo wylata oddech z jej piersi!

Odchylam ostrożnie abażur lampy — smuga światła ślizga się po jej krągłych piersiach, lśniących jak gwiazdy pod rąbkiem koszuli, osiada na jej pełnych, rubinowych ustach...

...Uśmiechnęła się przez sen!

Czy czuje dotknięcie mego wzroku?

Niedbale rozrzucone ręce poruszyły się, jakby szukając czegoś dokoła siebie, pierś wezbrała westchnieniem tęsknoty.

...Że to musi kiedyś, musi nastąpić!...

Na palcach zbliżam się ku niej, piję oczami gorącą nagość jej ciała — śpi!

Czy i ona... musi?...

Rój krwawych myśli-pająków rozszarpuje na szmaty mózg, w oczach mi ciemnieje... widzę tylko jej okrągłą perłową szyję, tętniącą oddechem... Ta szyja, to nić wiążąca ją

z życiem... i taka cienka, tak się uwypukła pod ciężarem przechylonej w tył głowy .. jakby się prosiła pod żelazną obręcz palców!

...Że to musi kiedyś, musi nastąpić!...

Nerwy pękają we mnie z hukiem granatów, orkan krwi szaleje w mózgu...

...Ta szyja, dlaczego ona tak przykuwa wzrok swą lśniąca nagością, tak pociąga ku sobie szpony zakrzywionych palców!... O Boże, ratuj mię!!

Boże!...

.....

CZĘŚĆ III.

Popielówka, w grudniu.

»Boże narodzenie Syna jedynego«...

Wciąż mi brzmi w uszach ta melodia.
Jest w niej jakieś mocne, jędrne wesele.

»Wesoło śpiewajmy, chwałę Panu dajmy«!..

Pyszny jest Korbiel ze swoim basem, wychodzącym z samego dna brzucha. I potem ta jazda sankami do kościoła, pasterka, — do prawdy życie ma bardzo wiele pięknych stron, trzeba je tylko umieć widzieć.

A mama? — biedna mama, jakże ciężko względem niej zawiniłem! Uważałem, że kilka razy spoglądając na nas, miała łzy w oczach, ale łzy promieniejące radością. Błogosławię chwilę, w której mi przyszła myśl zrobienia jej tej niespodzianki.

Janina była rozbawiona jak dziecko. Kochanka moja jasna! ileżbym dał za to, żebym jej codziennie mógł sprawiać podobne niespo-

dzianki, opromieniające szczęściem jej słodką twarzyczkę.

Tego jej uśmiechu, pełnego swobody, tych jasnych rumieńców, wykwitających jak młoda zorza na jej policzkach, brakowało mi właśnie do zupełnego szczęścia.

Dotąd wydawała mi się jakby oszołomioną, pamięć owej chwili była jeszcze zbyt świeżą! To jej oszołomienie, połączone z pewną nieokreśloną trwogą, czułem w każdym jej pierzchliwym spojrzeniu, nawet w gorączkowym pośpiechu jej pieszczot.

Dziś po raz pierwszy ujrzałem w jej oczach jasną tęczę szczerzej radości — radości z życia — i jakże jestem szczęśliwy sam!...

Chwilami uderza we mnie zabobonny lęk, że takie szczęście długo trwać nie może.

* * *

Mama naturalnie jedzie z nami. Biedna matka! jakże brutalnie niesprawiedliwym byłem wobec niej. Usprawiedliwia mnie chyba to tylko, że byłem wówczas niepoczytalnym.

I słusznie też zostałem teraz ukaranym.

Gdy jej wczoraj oświadczył, że bez niej nie wracamy, przez długą chwilę nie dawała mi żadnej odpowiedzi.

— Bardzo ci jestem wdzięczną — rzekła wreszcie — wierz mi, bardzo! Ale... — tu przerwała na chwilę i w oczach jej zabłyśły łzy. — Obawiam się, czy... czy nie będę dla was ciężarem z b y t trudnym do przeniesienia!

Wolałbym być zapaść się pod ziemię.

Nie mogłem się zdobyć na słowa, przypadłem tylko do jej kolan, zacząłem całować jej ręce. Na czole swem poczułem jej gorące łzy.

Naraz do pokoju weszła Janina.

Nie odczułem zmieszania, tylko jakąś ogromną radość, z którą chciałem być śmiało całemu światu w oczy spojrzeć.

Pociągnąłem ją również na kolana.

— Wiesz, Janiu, mama jedzie z nami!

— Jedzie?! Ach, mamusi!...

Zaczęła się śmiać, całować naprzemian matkę i mnie, i naraz pobladła dziwnie, wstała

szybko i z głośnym łkaniem wybiegła z pokoju.

Czy przypomniała sobie ową chwilę, gdy zagłuszona przez ciało dusza kazała jej zapomnieć o krzywdzie tej matki!

* * *

Korbiel nie podziela naszej wspólnej radości z powodu wyjazdu z nami mamy.

Gdy się o tem dowiedział, stało się z nim to, co się pospolicie nazywa »zdębieniem«.

— Jakto, pani dzika te... — co się nazywa — tego... naprawdę?!

— Tak. Pragnę resztę życia poświęcić moim dzieciom.

Wydało mi się, że w tonie odpowiedzi mamy zadźwięczał jakby lekki ton wyrzutu. Wolę jednak przypuszczać, że tak mi się tylko zdawało — wskutek wrodzonej podejrzliwej złośliwości. Bo zresztą kocham mamę prawdziwie, przez te kilka dni odkryłem w niej masę zalet.

Korbiel wyraźnie spuścił nos na kwintę.

— I tak raptownie jakoś pani dzika zdecydowała się, tak jakoś niespodzianie!

— Niespodzianie? Owszem, tego chyba można się było spodziewać, że samej nie zechcą mnie tu dzieci nazawsze zostawić!

Znów wydało mi się, że ten wyraz — samej — powiedziany był z pewnym naciśkiem, i niestety uczułem naraz potrzebę spuszczenia oczu, gdyż na ten raz strzał bardzo trafnie mógł być i przeciw mnie wymierzonym. Jednocześnie jednak i Korbiel chrząknął parę razy w podejrzany sposób, potarł łysinę i naraz zaczął nas gorąco zapraszać w odwiedziny — na kawalerski obiadek!

Nastąpiło to tak bezpośrednio jedno po drugim, że mimowoli musiało zrodzić podejrzenie o jakimś ukrytym celu.

Jakoż wylazło szydło z worka.

Na stół przy obiedzie, jakby rozmyślnie dla olśnienia, zostało wywleczone wszystko, co tylko dziedziczny kredens Korbielów zawierał cenniejszego i godnego uwagi w swem wnętrzu: starożytne masywne serwisy, misy srebrne, składane sztucce. Kilka przedmiotów

było istotnie godnych uwagi, szczególnie jeden niewielki złoty puchar, »misternie rzeźbiony«, taki, jakim nasi cni ojcowie spijali małmazyę.

Mama nie mogła powstrzymać okrzyku podziwienia.

— Ach, jakież to piękne wszystko!

Korbiel zdawał się na to tylko czekać.

— Tak! — rzekł. — A jednak to wszystko zmarnieje. Bo i któż się tem zaopiekuje! Zadaniem gospodarza jest gromadzić, gospodyni — pilnować, aby to, co zostało nagromadzone, nie rozlażiło się. Ale jak gdzie gospodyni niema, to cóż, to się musi rozleść! Bez gospodyni to się musi rozleść. Człowiek sam jak palec, nie poradzi. Bez gospodyni, bez życzliwej gospodyni-żony nie poradzi.

Uważałem, że mówiąc to, jakby z pewnym żalem poruszył zlekka opuszczonemi powiekami w stronę mamy. Nie spojrział, ale ten charakterystyczny ruch powiek dostrzegłem wyraźnie.

Lecz mama ostygła naraz w wylewach

podziwu, uśmiechnęła się nawet z pewną ironią.

— Zapewne! — rzekła. — Ale zdaje mi się, że pan nieco zapóźno przyszedł do tego przeświadczenia. Tak, nieco zapóźno!

Korbiel podniósł oczy i naraz wyraz żalu rozplynął mu się również gorzką ironią po twarzy.

— He, he — zaśmiał się — istotnie zapóźno nieco. Stary dziad jestem, stary, a wiadoma rzecz — każda kobieta woli dziesięciu młodych, niż jednego starego. He, he, tak jest, każda!

Twarz mamy przybrała wyraz zupełnej surowości.

Coś to wszystko musi znaczyć!...

Zresztą mniejsza z tem, dość, że mama będzie z nami.

Jania zdawała się nie rozumieć całej tej gry. Może zresztą udawała tylko — ze względu, że tu i własna jej matka grała.

Z Kustowicz powracaliśmy już nad wieczorem. Korbiel sam nas odwoził czwórką tęgich siwków — przypuszczam, że ta czwórka

Siedziałem obok Jani, wyczuwając ramieniem ciepło jej ciała poprzez grubość wszystkich zimowych ubrań. Twarz jej wyszczypana mroźnym powietrzem gorzała jak zorza pod białą czapeczką, rozszerzone źrenice spoglądały w rozmarzeniu w nieskończoną dal śnieżną, roztapiającą się na krańcach widnokregu w lekkiej purpurze zachodu.

— Dobrze ci? — szepnąłem.

Zamiast odpowiedzi mocniej przyłgnęła do mnie ramieniem.

I mnie było dobrze, tak dobrze!...

Gdyśmy mijali cmentarz, Korbiel milczący dotąd wskazał lśniący białem drzewem krzyż.

— Mogiła Hanki! Wie pan — tej, co to ją mąż zamordował.

Ramię Jani drgnęło gwałtownie.

Zrobiłem nadludzki wysiłek, żeby udać obojętność.

— Aha, pamiętam! — I zaraz wskazałem ręką w kierunku wręcz przeciwnym. — Tamten las do kogo należy?

— To rządowe lasy.

— Tak? Nie spodziewałem się, że rząd ma tutaj lasy!

— O, ogromną przestrzeń, kilkanaście mil wzdłuż i wszerz.

— To pewnie ładne dochody muszą mieć z tego?

— Tii! byłyby, gdyby urzędnicy nie kradli. Ośmieliłem się już spojrzeć zukosa na Janinę, gdy naraz mama spytała.

— A proszę pana, co też się dzieje z tym Pawlukiem?

— W kryminale, oczywiście.

— I na długo?

— Nie pamiętam prawdziwie, coś na kilka lat.

— Gałgan, jabym go na całe życie zasądziła!

— Hm, zapewne. Chociaż to nie był taki sobie zwykły morderca. Czy wiecie państwo, co go skłoniło do tej zbrodni?

Nie mogłem powściągnąć rozdrażnienia.

— A było przecie o tem wszystkim w gazetach, każdy wie, kto umie czytać!

— Tak, panie dzieju, ale niby jak się

zważy to wszystko! Taki ciamajda, głupi chłop, — i przez zazdrość! He, moi państwo? — obawiał się, że go zdradzi! Więcej nic, żadnych poszlak — i przez samą obawę — co? — przez samą obawę!

Zwrócił się ku nam, jakby szukając i w każdym z nas oddźwięku tego zdumienia, które jego samego ogarniało.

— Przez samą obawę!...

Byłbym mu z rozkoszą wgniótł w głowę te wysadzone zdumieniem oczy.

Spojrzałem ukradkiem na Janinę — siedziała bez ruchu z przymkniętymi, dziwnie szklącymi się oczyma, z wyrazem straszliwego bólu na kredowo bladej twarzy.

A ten nie ustawał!

— Ja — przyznam państwu — jakbym przeczuwał, że coś podobnego może nastąpić. Pamięta pan na tych dożynkach? — pan Leon tańczył z nią, z nieboszczką, a on stał koło nas. Jak on na nich spoglądał, zdawało się, że ich pożre oczami. Pamięta pan? — jeszcze mu mówiłem — ach ty, nie dla ciebie taka kobieta!

Gotowało się we mnie. Czułem, że jeszcze chwila, i rzucę mu się do gardła.

Na szczęście przyjechaliśmy.

Janina wyskoczyła pierwsza, wbiegła szybko do domu.

Nie chciałem jej zostawiać samej, lecz zdołałem ją odnaleźć dopiero po półgodzinnem szukaniu. Siedziała w nieopalanej salce, wtulona w kąt kanapy, nierozebrana jeszcze z drogi, z twarzą w dłoniach.

Usłyszawszy moje kroki, nie oderwała rąk od twarzy, tylko skuliła się bardziej jeszcze, prawie zwinęła się w kłębek.

Stanąłem obok, nie mogąc słowa przemówić. Bo i co mogłem jej powiedzieć? Że mój postępek względem niej był czemś innym, ponieważ inaczej się skończył? ale w każdym razie on był, był — i mógł się skończyć tak samo.

I to mogło ją spotkać odemnie, ją, która mi prawo do życia wróciła!

Cały ogrom niczem niezmazanej winy wobec niej przygniótł mnie swym ciężarem, osunąłem się przed nią na kolana, zaledwie

śmiejąc dotknąć ustami brzegu jej sukni, pragnąc być w tej chwili prochem, po którym mogłyby deptać jej stopy.

I naraz, poczuwszy moje dotknięcie, odskoczyła na kilka kroków.

— Janiu! — zawołałem, wyciągając ku niej dłonie — Janiu!...

Zwinęła się z bólu, załamała nad głową ręce w dzikiej rozpacz.

— Janiu — żebrałem, czołgając się za nią na kolanach — czy nigdy o tem nie zapomnisz? — A przecie ta chwila obojgu nam wrota do szczęścia otwarła!

Jęknęła... i nagle pochyliła się nademną, oparła mi ręce na ramionach. Twarz jej przy świetle pełnego księżyca wydawała się niemal siną, oczy świeciły jakąś ponurą rezygnacją.

— Słuchaj — rzekła — ja ci powiem, powiem wszystko, bo już dłużej nie mogę. To mię dławi, dusi mię tu... tu!...

Chwyciła się za pierś i natychmiast strzepnęła ręką, jakby nożem cięła.

— Słuchaj więc...

— O nie — krzyknąłem — ja wiem, wiem, nie mów, nie zabijaj mnie!

Rezygnacja jej jakby naraz cofnęła się w głąb duszy, poczęła odsuwać się, spoglądając na mnie z dzikiem przerażeniem.

Objąłem rozpaczliwie jej kolana, czułem, że wraz z nią dusza ze mnie ucieka.

— O nie odsuwaj ty się odemnie! Ja wiem, że grozy tej chwili nie zapomniawsz jeszcze, ale nie mów, że jej nigdy nie zapomnisz, nie odbieraj mi tego życia, któreś mi sama wróciła, tak — ty sama, bo ja byłem trupem, trupem byłem, i tylko iskierka twej miłości w tym trupie nanowo płomień życia roznieciła. Ta chwila — wszak w tej chwili człowiek się narodził, człowiek w bezdusznym kawale mięsa — o Janiu, nie przeklinaj jej, bo wraz z nią przeklinasz i tego, któremuś życie dała, a dla którego ty sama jesteś więcej niż życiem!

Wyciągnęła rękę, jakby pragnąc zasłonić mi usta.

— Nie mów tak — krzyknęła — ja nie godna jestem twojej miłości, niegodna!

— Ty — niegodna miłości mojej — miłości tego, dla którego jesteś tchem, niebem i treścią życia, dla którego szczęściem by już było stać się tylko prochem, po którym by zawsze mogły deptać twoje nogi! O Janiu, czy ty nie wiesz, nie czujesz, czym ty jesteś dla mnie, jak ja ciebie strasznie, jak nade wszystko kocham! O Janiu, Janiu moja!..

Z piersi jej wydarł się nagły wybuch łkania, zakołysała w rękach swą głowę jakby oderwaną od tułowia i naraz osunęła się przedemną niemal twarzą do ziemi, przygłnęła ustami do mojej ręki.

Uczucie niewysłowionej radości spłynęło po moich nerwach zmęczonych.

— Więc ty mnie kochasz, jedyna, przebaczysz mi kiedy tę chwilę obłędu? O, kochaj mnie, nie odbieraj mi życia, któreś we mnie roznieciła, nie wtrącaj mnie ponownie w grób rozpaczy i próżni!

Ciało jej drżało febrycznie, kurczyła się u moich nóg, jakby pragnąc fizyczną przemocą zdławić w sobie jakiś niezbadany wewnętrzny ból.

I naraz wyprostowała się przedemną.

— Kochasz mnie? — zapytała.

— Janiu!..

— Tak, ja wiem. I dlatego... dlatego... — zatrzymała się, wcisnęła twarz w dłoń i potem z mocą potrząsnęła głową. — Ty będziesz, o, ty musisz być szczęśliwym! I jeżeli do szczęścia potrzebne ci życie moje, oto kładę ci je pod nogi — deptaj po nim i niech uśmiech nie schodzi z twojej twarzy. Zapamiętaj to sobie! jeżeli dla swego szczęścia życie moje zechcesz wziąć, uczynisz mnie najszczęśliwszą, ja i wówczas kochać cię nie przestanę. Moje szczęście, to być tylko warunkiem twego szczęścia, być ci niewolnicą, rozstać ci się kobiercem pod nogi. I ty będziesz szczęśliwym — słyszysz? — Nie ja tobie, lecz ty mnie zechciej wybaczyć, że przez chwilową słabość sprowadziłam smutek na twoje czoło. Jam tylko winna, ja, — lecz dlatego ty musisz być szczęśliwym i będziesz, o, będziesz nim! A ja, ja?... A jeżeli ty, to i ja także, i ja także...

Ostatnie słowa domówiła ledwie dostyżalnym szeptem.

— I ja także!..

Pochwyciła me ręce w obie swe rozpalone dłonie, zajrzała mi zblizka w oczy z jakimś proszącym, pełnym pokory, a dziwnie bolesnym uśmiechem.

Czy chciała mnie przebłagać, że jeszcze nie znajdowała w sobie dostatecznej mocy do zupełnego zapomnienia?

Zwolna jednak uśmiech ten stygł i topniał na jej twarzy, a jednocześnie na oczach pochyły wyrastać dwie ogromne łzy, które stopniowo przysłoniły całe źrenice, spadły zaledwie musnąwszy policzki, jak ciężkie krople rosy z gałęzi, i wówczas z oczu jej buchnął jak płomień jeden wyraz bezdennego, niczem nieutulonego żalu, takiego żalu, który tryska wprost z serca, i którego najsilniejsze napięcie woli nie jest zdolne okiełznać.

— O jedyny mój — załkała, padając mi głową na piersi — a przecie ja ciebie tylko kochałam, ciebie tylko, ciebie jedynego!..

Warszawa, 1 luty.

Od tygodnia jesteśmy w domu, w tym domu, w którym po raz pierwszy słońce szczęścia ogrzało moją duszę.

Siedzimy też w tym domu po całych dniach, nie wychodzimy nawet do teatru.

Wczoraj mama zrobiła uwagę, że czas-by porobić jakieś wizyty, wejść w tryb życia towarzyskiego.

Umyślnie nie oświadczyłem się ani za, ani przeciw, pozostawiając zupełną swobodę decyzji Jani. Lecz ona ani słyszeć o tem nie chce.

Dobra, kochana!..

Istotnie, na co nam towarzystwa?

Przez samo uznanie potrzeby zadośćuczynienia konwenansom świętość naszego uczucia zostałaby sprofanowaną, a to uczucie jest tak świętem i tak mi jest dobrze, tak podniosłe z uznaniem jego świętości!..

Podniosłe, właśnie podniosłe, inaczej tego poczucia nazwać nie można.

Dotąd czułem się tylko szczęśliwym tym najniższym stopniem szczęścia, wypływającego z możliwości zaspokojenia swoich pragnień, lecz w szczęściu mojem nie było duchowego pierwiastka. Stan mój był tylko jakby dalszym ciągiem tego, co stało się ze mną w ową straszliwą chwilę, gdy rozpacz hańbiącej niemocy, gotowa już lada moment wyrodzić się w krwawą zbrodnię, pod czarodziejskim wpływem jednego dotknięcia jej nagich ramion roztopiła się nagle w moich żyłach przyplływem nigdy przedtem nieznaney, ufnej w sobie mocy. Ta moc jak huragan porывała moje zmysły, gorące objęcie tych ramion wypaliło się na mej duszy płomiennym pierścieniem wiecznie głodnych pragnień — i dawałem się unosić, znajdując całe szczęście w tem, że i ona z całym pośpiechem zapamiętania szła naprzeciw moim pragnieniom.

Dopiero zawdzięczając Korbielowi, po owym wieczorze!...

Ta trująca ją skrycie myśl, że mimo całej przepotężnej miłości ku niej mogłem być jednak targnąć się na nią!...

Zdradziła się wbrew swojej widocznej woli, lecz zawdzięczając temu, zawdzięczając jej, z n o w u jej, zostałem nagle jakby olśniony, zbudziła się we mnie dusza.

Miłość to nie tylko zmysły!

I do tego ten jej widoczny niepokój, że przez mimowolne przypomnienie, przez brak zdolności panowania nad sobą mogła mnie dotknąć boleśnie, te pełne pokory spojrzenia, któremi jakby mnie chciała przebłagać za mimowolne uzewnętrznienie rany swej duszy, to faktyczne rozścielanie się kobiercem dla mego ukojenia!...

Boleje nad tem, że przez chwilową słabość, przez chwilową niezdolność panowania nad sobą dała mi odczuć moją względem niej winę!

To jest miłość uduchowiona.

Zawdzięczając jej i moja miłość rozjaśniła się duchowym pierwiastkiem, i wszystko przez

nią, wszystko kosztem jej bólu, jej serdecznych cierpień.

Ja — zbieram tylko plon.

* * *

Przeszłość!...

Dzisiaj rozwinęła się przedemną, jak zwój wstęgi. Czytam po kilka razy i nie mogę uwierzyć, że to ja, istotnie ja sam rzucałem na papier te wrażenia, wydarte wprost z duszy, że te zapisane kartki są świadectwem cierpień przeze mnie przebytych.

Największym dobrodziejstwem dla człowieka jest zdolność zapominania.

I ja zapomniałem, do tego stopnia zapomniałem, że niektóre uczucia, które w swoim czasie musiały absorbować całą moją jaźń, dziś wydają mi się zupełnie obcemi, jakby to wszystko przechodziłem nie ja sam, lecz jakiś bardzo mi mało znany człowiek.

Że byłem wówczas blizki obłąkania, to jasne. Obłąd wyziera ze wszystkich tych kart.

Strach mimowolny ogarnia mnie jeszcze dziś.

Byłem blizki obłąkania i ślepy. Gdybym wówczas mógł być powierzyć, że jest istota współczująca moim mękom, to by mnie zapewne wcześniej uzdrowiło.

A jednak tak było, istota taka była!

I teraz dopiero rozumiem dokładnie przyczynę tego jej wiecznie naprężonego niepokoju, wyglądającego według najbezpośredniejszego pozoru na chęć zagłuszenia czegoś w sobie.

Ona mnie odczuwała, odczuwała całą swą wrażliwą istotą, i nie w sobie, lecz we mnie pragnęła zagłuszyć — pamięć mąk przebytych!

* * *

Kilka szczęśliwych pociągnięć piórem — i to, nad czym w pocie czoła mozoliłem się miesiącami, sławny mój dramat ...przeszedł w krainę niebytu.

Jedno horrendalne głupstwo, chory płód chorego umysłu!

Nie wiedziałem dotąd, że w niszczeniu własnej pracy można niekiedy znaleźć taką przyjemność.

25 luty.

— A przecie ja ciebie tylko kochałam, ciebie jedynego... —

Od wczoraj ten krzyk jej duszy zbołałej wypłynął mi naraz z mętu wspomnień i od-tąd kołacze mi w świadomości jak krew w skroniach.

Mam chęć zapaść się pod ziemię.

Jakże podły byłem, jak plugawie podły!...

Spotkaliśmy Leona.

Z całym egoizmem ufnego w siebie szczę-ścia zatrzymałem go, zacząłem zapraszać na wieczór.

Opierał się, więc chciałem użyć interwen-cyi Jani. Spojrzałem na nią — i zatrzymałem się w pół słowa. Błada była jak kreda, opusz-czone powieki drgały nerwowo, zdawała się chwiać na nogach. On też był błydy, i teraz dopiero rzucił mi się w oczy zmizerowany, niemal chorobliwy wyraz jego twarzy.

I naraz zadzwieczał mi w pamięci ten jej znamienny wykrzyknik.

— A przecie ja ciebie tylko kochałam...

Mnie tylko kochała, a ja śmiałem ją podejrzewać, nie dość tego, śmiałem wystawiać ją na niegodne próby!

Czyny popełnione w epoce niepoczytalności zaczynają mścić się na mnie.

* * *

Jestem pospolicie nikczemny, czy też może tylko zamało rozwinięty, nie dorosły do poziomu współczesnej etyki?

Nie umiem sobie na to odpowiedzieć, ale faktem jest, że czuję w sobie zbyt mało skruchy w stosunku do popełnionej winy.

Jeżeli chodzi o składowe czynniki tej całości, stanowiącej istotę mojej winy, to tak! względem niej czuję się winnym, jego mi żal. Dlaczegoż więc, gdy uświadamiam sobie całość, uczucie tej winy i żalu — miast się pogłęwiać — maleje, niknie do drobiazgu, i to wbrew wyraźnym moim usiłowaniom!

Bo dochodzę nawet do tego, że drogą rozumowania usiłuję rozbudzić w sobie skruchę — i napróżno. Nie odczuwam nawet wstydu z powodu tej niewrażliwości.

Wstydu? — he — wobec siebie samego mogę być chyba szczerym! Nie tylko wstydu ani żalu, lecz przeciwnie — odczuwam głębokie wewnętrzne zadowolenie.

A przyczyna tego zadowolenia — tragizm.

Ten tragizm, w którym znajdowaliśmy się wszyscy troje, dodaje dziwnego uroku memu tryumfowi — niezależnemu wprawdzie odemnie, ale nawet i to, że to właśnie tylko od niej zależało i ona nie zawahała się przechylić szalę na moją stronę, pogrążając kogoś w bezdeń rozpacz, czyni dla mnie tę rozpacz źródłem rozkoszy.

Czy to jest nikczemne?

A przecie mnie jego istotnie żal — i zaraz muszę stwierdzić, iż nawet ta świadomość, że to ja przecie mogę znaleźć dla niego współczucie, sprawia mi również zadowolenie.

To już chyba tylko brak dojrzałości etycznej.

A może istota współczesnej etyki polega właśnie na stanowieniu praw, wypływających z ośrodka, który się »ja« nazywa — i czy tylko współczesnej?

Szkoda, że szczerść jest tak po literacku traktowaną, to jest o tyle, o ile służy dla uwydatnionego piękna — w najszerszym znaczeniu. Miarą cudzego odczuwania mógłbym sprawdzić swoje.

A zresztą — czyż z tem jak jest, jest mi źle?!

Carpe diem!...

3 marca.

Po pięciu blisko miesiącach dziś po raz pierwszy byliśmy w teatrze — na »Lohengrinie«.

Namiętnie lubię tę operę. Nie dla samej jednak muzyki lubię ją, bo na tej — mówiąc szczerze — nie znam się, lecz dlatego, że w pewnym miejscu tej opery za pomocą muzyki wyraża się coś, do wyrażenia czego muzyka zdaje się być wogóle niezdolną, t. j. ironia.

Mianowicie w tem miejscu, gdy podczas rozpaczego szamotania się Elzy w końcowym akcie, w orkiestrze powtarza się refrain.

»Powiedz mi, o Elzo, jesteś ty szczęśliwa?...«

Ilekrć bywam na tej operze — a staram się nie pominąć żadnej sposobności — i dochodzi do tego miejsca, dostaję drżączki.

Śmiesznie to trochę lubić operę dla je-

dnego jedyne jej miejsca, które właściwie nie jest nawet muzyką, ale cóż, kiedy tak jest!

Siedzieliśmy w łoży we dwoje tylko z Janiną, gdyż mama jest zwolenniczką jedynie komedy i krwawego dramatu, a na operze nie bywa z zasady.

I już właśnie Lohengrin żegnał się na wieki z Elzą, zaparłem dech w sobie, gotując się do przyjęcia rozkoszy, która zaraz miała na mnie spłynąć, gdy naraz Jania wstrząsnęła się tak gwałtownie, że poczułem niemal uderzenie w łokieć, dotykający jej łokcia na balustradzie.

— Co tobie? — zapytałem, pochylając się do jej ucha.

Nie odpowiedziała, usłyszałem tylko jej przyspieszony oddech i gwałtowne tętno jej krwi, która nawet w mroku przyćmionych kinkietów gorzała krwawym płomieniem na jej twarzy.

— Janiu — szepnąłem z trwogą — tyś chora, do domu chodźmy!

— Tak — odszepnęła cicho — do domu!...

Ubrałem ją spiesźnie, wyszliśmy.

Drżała na całym ciele i teraz już była trupio-blada, tylko parę krwawych centków pozostało jeszcze na twarzy.

Z przerażenia oniemiałem i straciłem głowę. Była chwila, żem ją chciał porwać na ręce i uciekać z nią gdzieś. Dopiero widok pierwszej doróżki na ulicy wrócił mi przytomność.

Wsiedliśmy.

— Galopem! — krzyknąłem.

Przez całą drogę nie mogłem z siebie słowa wydusić. Tuliłem ją tylko w objęciach, drżąc bardziej może, niż ona sama.

Mama była zdumiona naszym wczesnym powrotem, lecz nie dałem jej przyjść do słowa.

— Jani coś się stało — zawołałem. — Niech mama ją rozbiera, a ja natychmiast po doktora!

Jania chwyciła mnie za rękę.

— Nie, nie, ja nie chcę, proszę cię nie! To już przeszło.

— Ależ Janiu, serdeczna moja!

Tymczasem mama podeszła szybko do Jani, spojrzała na nią uważnie.

— Co ci takiego? Czy może!?... — i pochyliła się do jej ucha.

Jania załkała naraz i wybiegła z płaczem.

Mama zwróciła się do mnie z dziwnie rozpromienioną twarzą.

— Nie trzeba doktora! — rzekła z uśmiechem.

I pocałowała mnie w czoło...

Przejrzałem.

I naraz dziwnie rzewne, promienne uczucie opłynęło moje serce, takie uczucie, jak gdyby mego serca dotknęły czyjeś usta. Zacząłem pokrywać pocałunkami ręce mamy, radbym był świat cały przycisnąć do łona.

Przepełniony tem uczuciem wybiegłem za Janią, lecz spojrzawszy na nią, zatrzymałem się naraz.

Siedziała blada, z rysami twarzy wykrzywionymi przerażeniem, z drżącymi na rzęsach śladami srebrnych łez. Patrzała na mnie świecącymi jak dwie gwiazdy oczyma, lecz zdawała się nie widzieć nic więcej, prócz tej grozy, która była w niej samej.

Owładnęło mną uczucie jakiejś nieokre-

ślonej winy względem niej, które odrazu wypłoszyło całą dotychczasową radość.

— Janiu moja — szepnąłem, wyciągając ku niej ręce. — Janiu!...

Przez chwilę jeszcze w utkwionych we mnie jej źrenicach nie było nic więcej, prócz dzikiego przerażenia. Zdawała się nie poznać mnie.

— Janiu! — powtórzyłem, obejmując jej kolana.

Teraz dopiero ujrzała mnie, czy też zdała sobie sprawę z mojej obecności. I w pierwszym momencie zrobiła ruch, jakby mnie chciała odepchnąć, wyrwać się z moich objęć. Serce oblało mi się krwią.

— Janiu — krzyknąłem z bólem — dlaczego, dlaczego!...

Zakryła twarz rękami, drżała.

Strasznym wysiłkiem woli stłumiłem w sobie dojmującą gorycz, podnoszącą się z głębi rozżalonej duszy, zacząłem ją uspokajać.

— Dlaczego z takim przerażeniem przyjmujesz tę nowinę? To przejście straszne jest dla każdej kobiety, to prawda, ale za to pó-

źniej!... Pomyśl, droga, jakie szczęście, jaki
beźmiar szczęścia uśmiecha się do nas!

Wzdrygnęła się naraz.

— Szczęścia, ha, ha, szczęścia!...

Zamilkłem, ugodzony w samo serce.

I jakby odczuwszy gorzką treść rojowiska
myśli, które zakotłowały się w moim mózgu,
rzekła naraz.

— Ja ciebie tylko kochałam i tylko cie-
bie chcę kochać — rozumiesz mnie? — tylko
ciebie!

Wpatrzyła się we mnie z jakimś dziwnie
surowym, niemal gniewnym wyrazem i nagle
bez żadnych przejść wybuchnęła głośnym
płaczem.

— Dlaczegoś mnie raczej nie zamordował
wówczas, dlaczego!...

* * *

Jestem oszołomiony, nawpół obłąkany.

Co to wszystko znaczy?!

Ziemia zarywa mi się pod stopami i niebo

pęka nad głową. To niebo, które już było
mojem.

* * *

Spokój jej prysnął, odkąd uświadomiła so-
bie swój stan.

A przecie to już i przedtem było, więc
nie zmiany fizyologiczne spowodowały ten
przełom.

I nie strach stanowi istotę jej cierpienia.
Nie, to jest coś straszniejszego od strachu.

Jęczy!...

Teraz tak co noc. W dzień wola panuje
nad cierpieniem, lecz gdy sen ogarnie znu-
żone ciało, sama dusza zdaje się skarżyć za-
łośnie.

Te jęki rozorują mi serce.

Na kogo się skarży?

Dziś odtrąciła mnie niemal ze wstrętem.
Lecz nie było to oznaką wstrętu do mych
pieszczot. Czułem, że odtrącając mnie, rozkrwa-
wia własne serce.

A jednak odtrąciła...

Boże mój, co to wszystko znaczy!

* * *

Wszystko dla niej zubożało. Całymi godzinami siedzi milcząca, jakby zasłuchana w to, co się w niej dzieje.

I w pewnych chwilach marszczy się naraż, w oczach jej przebłyskuje jakiś dziwnie ponury ogień, który zdaje się zwracać również wewnątrz niej samej, jakby chciał zniszczyć swym płomieniem ten budzący się w niej odruch drugiego życia.

Dlaczego to nowe życie jest dla niej tak nienawistnym!...

* * *

Przez kilka dni, właściwie przez kilka nocy wertowałem książki akuszeryjne. W dzień ukrywałem je przed Janiną.

I nie znalazłem w nich nic, coby mogło się przyczynić do rozjaśnienia moich wątpliwości.

Kobiety przeważnie zmieniają przy tem nawet swoje usposobienie! — O tem wiedziałem,

lecz czy zmiana, jaka w niej zaszła, jest właśnie następstwem jej obecnego stanu?

Dzisiaj spróbowałem nawet zasięgnąć opinii mamy.

— Mama nie uważa, że Jania jakoś bardzo, niezwykle zmieniła się w tych czasach? Czy mama nie znajduje w tem nic nienaturalnego?

— No, mój kochany, niedarmo przecie ten stan nazywa się odmiennym. Przysięgam ci, że ona taka jeszcze młoda!...

10 kwietnia.

Wydaje się nieco spokojniejszą.

Dziś po raz pierwszy dała się namówić na przechadzkę.

Podsunałem jej jedną z nabytych książek. Lepiej, że będzie przygotowaną na wszystkie zmiany, które ją jeszcze oczekują.

* * *

Ma obecnie dopiero lat ośmnaście!

Czy to nie jest główną i wyłączną przyczyną jej usposobienia?

Ośmnaście lat — wszak to jeszcze dziecko.

I cóż dziwnego, że takie dziecko, poczuwszy w sobie naraz drugie rodzące się życie, może uczuć trwogę.

Każda kobieta już w zarodku ogarnia swe dziecię miłością potencjalną, ale kobieta,

to jest istota z rozwiniętym instynktem macierzyńskim.

Czy zaś w dziecku, jak ona, instynkt macierzyństwa może być dostatecznie rozwiniętym?

* * *

Przestudyowałem sumiennie statystykę dzieciobójstw. Najwięcej dzieciobójczyń przypada w wieku do lat dwudziestu.

Mama ma rację. Za młoda jest!

* * *

Pochłania książki. Dziś sama prosiła, abym jej dostarczył jeszcze coś z higieny tego okresu.

Nie jestem pewny, czy to dla niej dobrze, ale sądzę, że tak. Wiadomości zapożyczone powinny uzupełnić to, czego jej wiek dać nie zdążył.

20 maja.

O badawczy, niczem nie krępowany umyśle ludzki, jakże jest lichą ta twoja badawczość i jak ograniczoną swoboda twoich dociekań! Pachołkiem tylko jesteś, leniwym i ospałym pachołkiem na służbie wygodnego zadowolenia własnego. Gdzie się kończy ta wygoda, tam ci mówią — stój, nic już nie masz poza tem! — I uścielasz sobie chętnie poduszkę z własnych złudzeń, nie zadając sobie fatygi, by zastanowić się nad tem, czy pod tą poduszką nie ma właśnie dziury, kryjącej jądro prawdy, czy wreszcie wraz ze swem puchowem podgłowieciem nie runiesz w przepaść!

Zapałem górnice, ale bo doprawdy... gdybym sam nie był człowiekiem, mniejby mnie obchodziła głupota czy też umysłowe krótkowidztwo ludzkie!

Spotkaliśmy dzisiaj Leona.

Właściwie przechodził tylko po drugiej stronie ulicy. Poznałem go już zdaleka, lecz ze względu na Janię umyślnie starałem się nie patrzeć sam i odwrócić jej uwagę. Zrównawszy się jednak, mimowoli obejrzałem się. Jednocześnie spojrział i on. Sięgnął już ręką do kapelusza i naraz, obrzuciwszy Janię wzrokiem, zatrząsł się i stanął bez ruchu, z ręką zawieszoną w powietrzu...

A przecie mógł był to z łatwością przewidzieć!

Czy mógł? — otóż w tem właśnie wylazi na jaw owo zatykanie dziur poduszkami. Czego się nie chce widzieć, tego się nigdy nie widzi, nie rozumie się.

I może zawdzięczając temu miłość bez wzajemności nie zabija odrazu, lecz zatruwa duszę zwolna, na raty, dając czas przystosować się do wchłanianej trucizny. Pierwszy etap — to fakt współżycia ukochanej kobiety z innym. Lecz sam fakt nie uwydatnia jeszcze istoty tego współżycia. Na pozór wszystko zostaje po dawnemu, nic się w tej ukochanej nie zmienia, tak samo anielsko

rozłsniewają jej oczy, żadna zmaza nie kala po dawnemu przeczystego i po dawnemu dziewiczego czoła. I zrozpaczone serce zaczyna się zwolna układać na miękkiej poduszce wygodnego ukojenia — nic tu w tem niema!...

Aż oto w pewnej chwili uderzają nagle w oczy naturalne skutki takiego współżycia! Cios drugi i bardziej stanowczy. Ta najukochańsza, wymarzona — i nosząca w swem łonie owoc cudzej miłości?... Pod poduszką roztwiera się naraz przepaść!

Biedny Leon.

Trząsł się i patrzył na nią, patrzył... Zdało mi się, że z jego znieruchomiałych źrenic wylewają się potoki krwi, które pełzną za jej stopami i krzyczą o swoim bólu.

Biedny!...

Żal mi go, bo jestem sam mężczyzną i umiem wyobrazić sobie w jego położeniu.

Kobiety nie doznają podobnych cierpień, przynajmniej ogromna ich większość. Ból mężczyzny wypływa tu z wrodzonej dążności do wyłącznego posiadania, w naturze kobiety dążności takiej niema, wprost nawet

przeciwnie — jest wyraźna dążność do posiadania dorywczego.

I podczas gdy mężczyzna tylko na najniższym stopniu kultury niechętnie spogląda na dziewczynę, która nie miała jeszcze szczęścia do nikogo przedtem należeć, donżuani zawsze cieszyli się i długo jeszcze zapewne cieszyć się będą największymi względami kobiet.

Może to wina całych wieków podległego stanowiska kobiet, wina haremowego systemu wychowania, który wszczepiając li tylko uznanie potrzeby wyłącznego należenia do kogoś, zabijał jednocześnie wszelkie roszczenie praw do wyłącznego posiadania — bądź co bądź dowodzi to ogromnej niższości — kobiet moralnej i umysłowej.

Kiedyś, gdy nastąpi zrównanie na innych polach, i pod tym względem muszą obowiązywać równe dla obu stron wymagania, i obstawanie przy tych wymaganiach będzie dla mnie probierzem etycznego rozwoju kobiety.

Naturalnie, że i teraz są już między niemi dusze wybrane, ale jakże ich jeszcze mało! Jania moja do nich należy.

Czuję, że kocha mnie stokroć silniej, ponieważ jest pewną swą względem mnie wyłączności.

I że to właśnie, to potęguje jej miłość, jest mi i ona sama stokroć słodsza.

1 czerwca.

Jestem prawie szczęśliwy.

Teraz wygląda już tak, jakby się pogodziła z faktem.

Może niezadługo przyjdzie i to, że i sama będzie się czuła szczęśliwą?

Życie w potomności!...

Co innego może oznaczać nieśmiertelność, jak nie to odradzanie się we krwi swego potomstwa!

13 czerwca.

Więc zrobiła to rozmyślnie!!

A tak już spokojny byłem, tak coraz śmiej wpełzała radość do mego serca!

I dlaczego aż do tego stopnia, skąd ta nienawiść do tej cząstki własnej jej jaźni?

W głowie mi się przewraca.

I żal do niej czuję, po raz pierwszy mam jej coś do wyrzucenia.

Czuję żal do niej, nie dlatego jednak, że przez ten czyn obniżyła w moich oczach swoją wartość moralną. W pierwszej chwili, pod wpływem pierwszego rozgoryczenia tak mi się istotnie wydawało. Lecz czy postęp, kultura nie polega właśnie na uzależnieniu, nałamywaniu natury, choćby tą naturą miało być w danym wypadku własne ludzkie ciało?

Zresztą... wszak obcinając sobie, dajmy na to, palec w uznaniu jakiejś mnie tylko wiadomej przyczyny, a nawet choćby tylko dla

kaprysu, nie popełniam przez to nic niemoralnego. A czemu innym w stosunku do matki jest to dziecię, które nie oddzieliło się jeszcze od niej, jest nią samą, własną jej krwią i ciałem? Czyż nie ma ona prawa stanowić o jego losie według swego dowolnego uznania?

Miała więc i ona prawo, miała — gdyby to dziecię do niej tylko należało. Ale ono i mojem jest także, mojem, a mimo to nie zawahała się targnąć na nie.

I to jest źródłem mego rozżalenia.

.....
Nie chciałem poruszyć całej tej bolesnej sprawy wobec niej, zbyt oboje jesteśmy zgnębieni.

Sama jednak dała do tego powód.

Dziś, gdym siedział obok niej, starając się najobojętniejszymi przedmiotami rozerwać jej naprężenie, upadła mi raptem na piersi, zakłakała.

I mnie spazm chwycił za gardło.

I to pytanie, nurtujące bólem w mej duszy, bezwiednie prawie wypęzło mi na usta.

— Dlaczego tak, dlaczego?...

Oparła czoło na mojem ramieniu, jakby chcąc jednocześnie ukryć wyraz twarzy.

— Wypadek!... — szepnęła.

— Nie mów tak! Kasia widziała — ze stołu zeskoczyłaś.

Opadła mi bezwładnie w ramiona, trzęsąc się i łkając, jakby całe to chorobliwe naprężenie nerwów, które ją popchnęło do spełnienia nienaturalnego czynu, rozluźniło się naraz, i pozostało tylko zupełne wyczerpanie, bierna niemoc dziecka.

Odczuwałem jej żal.

— Dlaczego, Janiu, dlaczego chciałaś zepsuć to piękne szczęście, które nas ogrzewało! Czy pomyślałaś, na coś się narażała, a wraz z tobą... Czyś pomyślała, coby ze mną wówczas było, ze mną, co w tobie tylko i przez ciebie żyję!...

Obelgnęła mnie ramionami, jakby pragnąc cała wtulić się we mnie, wejść w moją krew, rozplynać się ukojeniem po moich żyłach.

— Przecie ja w tobie tylko żyję i przez ciebie. O Janiu, przecie i to nowe życie, to tylko symbol wiekuistego spojenia obojga nas

w jedno. Nie zaćmiewaj promienności tego symbolu cieniem swej nienawiści, Kochaj je!

Raptownie oderwała się odemnie.

— Nie — wyszeptała głucho — ja tego kochać nie mogę, nie chcę, nie chcę kochać!

— Nie chcesz? — a przecie to nowe życie, to tylko odblask mnie samego, odblask mego życia w tobie — i nie chcesz!...

Rzuciła rękami, jakby odpychając coś od siebie.

— Nie chcę, nie chcę! Ja ciebie tylko Kocham, ciebie chcę kochać, a to nienawidzę, nienawidzę, bo ono staje między mną i tobą.

Zbladła, oczy jej pociemniały wyrazem ponurej zaciętości.

I dziwna rzecz, na chwilę doznałem uczucia jakiejś bolesnej radości.

Lecz zaraz tem silniejsza gorycz zalała mi serce.

— Ja wiem, dlaczego ty tego nie możesz kochać. Bo ono poczęte zostało w owej chwili, w chwili grozy, której nie zapomniałaś i nigdy zapomnieć nie będziesz w stanie.

To wspomnienie tamtej chwili staje między nami!

Poruszyła przecząco głową, wpatrując się jednocześnie we mnie z jakąś straszliwą, przejmującą ciekawością, która naraz roznieciła we mnie dziwny, niepojęty niepokój.

— Nie — szepnęła — ja tę chwilę błogosławię. Ale tego kochać nie chcę, nie!

— Nawet dla mnie?

— Właśnie dla ciebie — rozumiesz mię?

— tylko dla ciebie!

Znów wpatrzyła się we mnie i doznałem uczucia, że wraz z tym jej wzrokiem jakaś bezdenna, niczem nieutulona boleść przechodzi z wolna z jej duszy w moją i osiada gorzkim mętem na mem sercu.

W lipcu.

Uczucie zapadania się gruntu pod stopami nie opuszcza mnie.

Skąd ten niepokój?

Chwilami i moją duszę zaczyna podmywać głucha nienawiść przeciwko temu, które ma przyjść dopiero... zstąpić skądś z błękitnych szlaków, kędy mkną z mgławicami rozwiane w przestrzeniach, wolne duszyczki. Nieszczęsne dziecię chorej miłości!

A to się już zbliża, zbliża... i im bliżej, tem większy niepokój miota się w mej duszy.

Ona wydaje się spokojniejszą, lecz ten spokój to tylko rozpaczna rezygnacya.

* * *

Czy w mojej propozycji było istotnie coś ubliżającego? — Dla kogo innego może i nie,

lecz dla niego — tak! i nie ubliżającego, lecz bolesnego.

Oczywiście — przyjmować pomoc materialną — on odemnie — i właśnie wtedy, gdy ona!...

A jednak nie było w tem z mej strony złej woli. Tylko brak zastanowienia. Ja wszystko robię teraz bezmyślnie, myśl moja jest tylko w tem, co jej dotyczy.

I cała moja rozmowa z nim była bezmyślna. Uderzył mnie tylko w oczy jego wygląd, i już zupełnie odruchowo, lecz nie myśląc o nim, musiałem go zapytać.

— Chory jesteś?

Wzruszył ramionami.

— Nie!

Zdaje mi się, że starał się przy tem nie patrzeć na mnie. Może zresztą istotnie tylko mi się zdaje, bo dlaczegóż miałby sobie zadawać ze mną jakiś przymus.

— Nie — powtórzyłem za nim — nie jesteś chorym! A więc, a więc może?...

To pamiętam, że ręka, którą już sięgałem do kieszeni, stała mi się dziwnie niezręczną.

Może to było instynktowne przeczucie? Lecz ostatecznie zdołałem dotknąć palcami pularesu.

Spojrzał na mnie impetycznie. Dziwnie błyszcząły te jego oczy na wychudłej twarzy. Zdawały się uderzać.

— Nie! — odparł, hamując się z widocznym wysiłkiem. — Zresztą... tobie samemu może być niedługo potrzeba!...

Zaśmiał się krótkim bezdźwięcznym śmiechem, podobnym do suchego skrzypienia pocieranych o siebie drzazg, i naraz zbladł i sięgnął brwi, jak gdyby i jego samego ten śmiech zabolał.

— Bądź zdrow! — rzucił nagle i odszedł szybko.

A jednak nie chciałem go dotknąć.

25 lipca.

Ta niedaleka przyszłość wydaje mi się przepaścią tak czarną, tak niezgłębienie przerażającą, że oczy same mrużą się, by nie spoglądać przed siebie...

Lecz i z zamkniętymi oczyma czuję już na sobie ziębiący wiew trwogi.

Więc naprawdę wszystko to ma mnie spotkać, cała ta oczekiwana męka sekunda za sekundą będzie ociekać po mem sercu?!

Gdyby jej zamiar udał się wtedy, wszystko to byłoby obecnie już tylko przeszłością.

Tak ja je nienawidzę to nowe życie! Zapuszcza swe pędy w tę pełnię, stworzoną przez dwie nasze jaźnie, jak powój w skałę, po której się rozpina, i jak powój skałę rozsada zwolna nasze szczęście.

I trzeba je cierpieć, trzeba nawet kochać...

.....

.....

— Akuszerów potrzeba zawczasu zamówić!

Mama ma słuszość. Potrzeba. Przyjdą i będą zimnym swym wzrokiem kalać olśniewającą nagość jej ciała, i będą mnie okradać z uroku tajemnicy, która moją tylko była, tylko moją!

.....

Młyński kamień wtacza się na moje serce. Serce drga jeszcze i wydziera się, jak ptak z przywołanym do ziemi skrzydłem, ale kamień obraca się wciąż. linia za linią, wciąż postępuje naprzód, rozgniata samem tylko przecuciem swego ciężaru.

Krzyknęła znów!

Każdy jej krzyk zdaje się tkwić we mnie i tkwić w całej otaczającej mnie przestrzeni niemilkącym głosem tak długo, póki inny głośniejszy nie wyprze go i nie zajmie jego miejsca. Potem znów ten drugi tkwi w mózgu jak ostry gwóźdź i każda sekunda pełna jest tego krzyku.

— ...Ty możesz zajmować się teraz pisaniem? Po lekarza trzeba iść natychmiast!...

Mama na moment tylko zajrzała do mego pokoju i wybiegła, zdaje się, bardzo oburzona.

Istotnie, więc ja mogę teraz zajmować się pisaniem, podczas gdy ten nieustanny krzyk, jej krzyk!...

I po lekarza trzeba iść, trzeba!

Leon znów przeszedł pod oknem...

Idzie tak powoli, z trudnością przesuwa nogi, jakby te mury wiązały go do siebie tyśnięciem niewidzialnych nici. Zdaje mi się, że słyszę jego ciężki, nadmiernie utrudzony oddech.

I ona wczoraj tak oddychała.

Jej palce wpiły się w moje ramię jak żelazne szpony.

— To już się zbliża, o Boże, o Boże!...

— Droga moja, odwagi tylko, odwagi!

— Och, to jest okropne! Janku, ratuj mnie, Janku!!...

Na jej cienkiej szyi żyły nabrzmiały jak

postronki nadmiernym wysiłkiem, policzki nabiegły krwią.

— Janku!...

Szarpnęła się w moich objęciach, jakby chcąc wydrzeć się ze szponów bólu. I naraz ucichła. Łzy cicho płynęły po zmęczonej, białej jak papier twarzy, jasne oczy zolbrzymiały, stały się jeszcze jaśniejsze, prawie przeźroczyste. Zdawała się wpatrywać w siebie samą, w tę okropną grozę, która z niej samej powstawała i szła, szła na nią nieubłagana jak przeznaczenie.

Widziałem lęk, wyzierający z dna duszy przez te nieruchome, rozszerzone źrenice.

— Ja tego nie przeżyję — szeptała — czuję to, wiem!...

Próbowałem oszukać w sobie miażdżące poczucie winy względem niej.

— Dziecko drogie, po co się udręczać na daremnie. Gdyby to było tak bardzo niebezpieczne, nie byłoby ani jednej matki na świecie, — he, he, tak! — ani jednej. A przecie widzisz, he, he, widzisz...

Mój śmiech kaleczył mnie samego. I w głos mój zaczęła się wplątywać namiętą prośba.

— Tyś przecie taka młoda, taka młoda! Jedna chwila cierpienia, i jaki bezmiar szczęścia potem. Pomyśl tylko, moja jedyna, moja żono — we troje z tem naszym, naszym!...

Głos mi zgrzytnął, spojrzałem na nią z przestachem.

Żrenice jej topniały białymi łzami bezdennego żalu.

— Szczęście!... Och, nie dla mnie już szczęście, nie dla mnie!...

...Jeszcześ nie poszedł po lekarza?! Człowieku, jesteś potworem!

I znów krzyk! Takiego jeszcze nie było.

Rzuciłem się do niej szybko, tak szybko, żem dojrzał jeszcze krwawą łunę, zbiegającą z jej twarzy. Lecz już bladła jak śmiertelne płótno. Na białem tle poduszek biała twarz, i tylko, jak dwie czarne plamy, firanki rzęs na oczach.

— Janiu moja, Janiu, Janiu!...

— Teraz nie czas po temu, po lekarza spiesz!

Po lekarza, ach tak, tak...

Serce moje zdaje się być związane żelaznym prętem z jej sercem. Idę, idę poprzez ból, i drut żelazny nie puszcza mnie od niej, wrzyna się w serce. Gdy pójdę, to może i jej serce wyciągnę tym drutem z piersi?

Leon wszedł.

— Dlaczego stoisz przy drzwiach, dlaczego jesteś taki strasznie blady, jak skazaniec. Przecie to nie ty masz umierać. Czy słyszysz te krzyki? A, tak! drżysz, więc słyszysz. To ona tak krzyczy, ona!...

— Czy... pozwolisz mi zostać tutaj?

— O, zostań! Wszak tej odrobiny bólu nie będę ci żałował. Tyś mój przyjaciel. Zostań, a ja — po lekarza, widzisz, ja

Z protokołu sądowego. Zeznania lekarza-akuszer.

Zawezwany byłem zapóźno.

Zresztą w tym wypadku i wcześniejsza pomoc nie na wiele by się przydała. Nie będę tu tłumaczył się jaśniej, ponieważ to nie należy do rzeczy, lecz w danym wypadku położenie było tego rodzaju, że już od chwili poczęcia zmarła skazana była na śmierć.

Spełniliśmy jednak to, co nam obowiązek nakazywał (ja i kolega, którego poleciłem jeszcze zawezwać), zrobiliśmy trepanację, no i stało się to, co było odrazu do przewidzenia: chora zaczęła konać.

Rola nasza była już właściwie skończona. W ostateczności mógł być pozostać jeden z nas, lecz na prośby matki (oskarżony już wtedy zdawał się być niepoczytalnym) zostaliśmy obaj.

Około północy (tak, pamiętam to nawet

dokładnie, była jedenasta minut czterdzieści siedm), a więc jak powiadam dla zwięzłości — około północy chora zapragnęła pozostać sam na sam z mężem tylko i z tym — nie wiem jak ściślej określić stanowisko jego w tej rodzinie — z zamordowanym.

Wyszliśmy.

Uplęnięto może ze dwadzieścia minut, może pół godziny, gdy naraz za drzwiami (sam je przymknąłem) rozległ się straszliwy krzyk, raczej ryk nie ludzki (nie mógłbym z całą stanowczością odpowiedzieć, kto mianowicie krzyknął — oskarżony czy Wirski), potem stuk przewracanych krzeseł, brzęk spadającej lampy.

Wpadliśmy i oto cośmy ujrzeni. Nafta z potłuczonej lampy zajęła się widać, cały pokój stał w płomieniach, a pośród tych płomieni dwa tarzające się po podłodze ciała.

W chwili, gdyśmy wchodzili, chora siedziała na łóżku. Zerwała się widocznie ostatkiem sił i naraz, rozkrzyżowawszy ręce, runęła na wznak.

Przedsięwziąć w tej chwili coś stanow-

czego było absolutnie niemożliwe ze względu na ogień. Szczęściem jednak nafty widocznie było niewiele, udało nam się opanować resztę pożaru i wtedy dopiero można się było rozejrzeć.

Pod wpływem pierwszego impulsu rzuciłem się do chorej. Oczy miała wysadzone z oczodołów, na usta występowała różowa piana. Już nie potrzebowała pomocy!

Tymczasem kolega usiłował oderwać rękę Skalskiego od gardła zamordowanego. Bo musiał już nie żyć w tym momencie, przynajmniej się nie poruszał. Lecz nie było to tak łatwo.

Dopiero gdy omdlał, udało nam się za pomocą — nie pamiętam już — noża czy łyżki rozgiąć jego zupełnie jakby skamieniałe palce.

Reszta panom wiadoma.

Na ostatku jeszcze jedna uwaga. Aczkolwiek nie wchodzi to w zakres dzisiejszej mojej roli — kto inny powołany jest do wydania miarodajnej pod tym względem opinii — poczuwam się do obowiązku podzielenia się

z panami czysto subiektywnem mojem wrażeniem, jakie od pierwszego wejrzenia oskarżony na mnie sprawiał. Pamiętam wyraz tych jego świecących jak próchno oczów, te jego uśmieški. On już wtedy — może od bardzo dawna — musiał być ...tego!... (stuknięcie w czoło!)

I wreszcie widzieliśmy wszyscy ślady jego palców na szyi denata. Palcami zwichnąć kręgi — taką siłę, panowie, daje tylko obłąkanie!



268924